

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 31-go stycznia 1942r.

Rok IV. Nr. 5

JEDNOŚĆ DZIAŁANIA

Jedność działania jest jedną z naczelnych zasad prowadzenia wojny. Można uznać za prawdę niewątpliwą, że nie ma zwycięstwa bez zespolenia w walce wszystkich sił, kierowanych jednolicie, prowadzących jedną myślą i jedną wolą.

Zasada ta, wypowiedziana lub niewypowiedziana, istniała w świadomości ludzkiej, odkąd historia zaczęła notować wydarzenia wojenne. Narzucała się zwłaszcza, ilekroć walka toczyła się nie o jakąś posiadłość czy jakiś obszar, ale o sam byt państwa i narodu. Narzucała się zawsze, jako postulat jedności dowództwa wojskowego. W najcięższej potrzebie występowała jako postulat dalej idący: jedności władzy rządowej i wojskowej na czas niebezpieczeństwa.

Tak republika rzymska, zazdrośnie strzegąca wolności przed przewagą jednostki, upierająca się przy wybieralności i ciągłej zmienności władz rządowych, w chwilach zagrożenia nie poprzestawała na tym czynniku ciągłości pracy państwowej i autorytetu, jakim był senat, ani na ograniczonej, dwugłowej władzy konsulów, ale wprowadzała na określony czas dyktaturę, łącząc pełnię władzy rządowej i wojskowej w rękę wodza.

Tak Rzeczpospolita polska w dobie krwawego potopu, skonfederowana w Tyszowcach przy królu, oddawała mu pełnię władzy dla ratowania ojczyzny.

Tak u kolebki wielkiej demokracji amerykańskiej pierwszy jej wódz i bohater, Washington, złączył w swym ręku ster rządu i dowództwo naczelne.

Tak umiłowany nasz Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej, Tadeusz Kościuszko, porwijąc ginącą Rzeczpospolitą do ostatniej walki na śmierć i życie, na czas walki wziął w swoje ręce władzę cywilną i wojskową.

Gorzko wyrzucano Czarotoryskiemu, że się na to w roku 1830 nie zdobył. Od dyktatury zaczęło powstanie 1863 roku i kończyło jasną jak słońce na zawsze heroizmem i męczeństwem dyktaturą Traugutta.

Słowo dyktatura jest dziś splugawione. Z instytucji, stwarzanej doraźnie, by służyła ocaleniu ojczyzny lub jej wyzwoleniu, wyradzała się niejednokrotnie w dziejach podbój własnego narodu przez władzę jednostkę. Dyktatorami wojny domowej stali się Mariusz i Sulla, dyktatura stała się wśród wewnętrznych rozgrywek ich instrumentem, instytucja nie wojenną już, ale polityczną, aż wreszcie dyktaturę swoją narzucił Cezar rzymskiemu imperium. Ale to przeszłość odległa. Nie przeciwstawiła się ona ani Washingtonowi ani Kościuszcze, wyższym moralnie ponad podejrzenia o chęć ujarznienia własnego narodu.

Ostatnie dopiero dziesięciolecie przyniosło przerażające fakty podboju w czasie pokoju, bez ekskuzy zewnętrznego zagrożenia, całych wielkich narodów przez jednostki, opierające się na bandach uzbrojonych opryszków, całkowitego fizycznego i duchowego ujarznienia tych narodów i powleczenia ich na drogi zbrodnicze. Nie potrzeba podkreślać, że nie o takiej dyktaturze myślał Kościuszko, inspirując pamiętną broszurę: "Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość."

Jeśli jednak ktoś powiada, że połączenie w czasie wojny władzy

szefa rządu i naczelnego wodza w jednym ręku jest dyktaturą, odpowiemy: dyktaturą w dużo wyższym stopniu była władza ludzi takich, jak Washington, jak Kościuszko, jak Traugutt. Ludzi, którzy skupiając w rękę sumę władzy, niezbędna do zapewnienia jedności działania w śmiertelnej walce, ani na chwilę nie przestali być sługami swego narodu, chyląc czoła przed nim, świadomi swojej przed nim odpowiedzialności, czuli na każdy przejaw jego woli, zdecydowani zdać mu sprawę po skończonej walce, a władzę u stóp jego złożyć.

Jeśli ktoś powiada, że połączenie władzy cywilnej i wojskowej jest niezgodne z zasadami demokracji, wystarczy przypomnieć mu tamte wielkie imiona bohaterów demokracji, jej świętych.

Jak wspomniano, zagadnienie jedności działania w czasie wojny występowało w przeszłości stale jako zagadnienie jedności dowództwa. Wiemy, jak niezmierną przewagę dała Francji niepodzielna władza wojskowa Bonapartego nad koalicjami, pozbawionymi jednolitego dowództwa, nad armiami jednego nawet przeciwnika, jak austriackie, kierowane przez ciężką, wielogłową Najwyższą Radę Wojenną i jak ta przewaga osłabła od razu, gdy ci sami Austriacy zdobyli się na jednolite dowództwo arcyksięcia Karola, jak wystąpiła znowu w ostatnich wojnach koalicyjnych, gdzie przeciwnika, mimo jego przemocy liczebnej, stale ubezwładniała wielogłowość źle sprzężonego kierownictwa. Wiemy, jaką w wojnie światowej przewagę dawało państwu centralnym niemieckie Naczelne Dowództwo, nadrzędne w stosunku do sojuszników, nad pozbawioną wspólnego dowództwa naczelnego koalicją i jak w ostatniej potrzebie doszło do powołania Focha jako koordynatora, a później wodza naczelnego sprzymierzonych sił zbrojnych.

To jest jedna strona zagadnienia. Ale jest druga, występująca szczególnie silnie dzisiaj, w dobie totalnej wojny.

Słaby by nie widział kolosalnej przewagi, jaką uzyskiwały nad wszystkimi innymi państwami mocarstwa dyktatorskie przez jedność kierownictwa w okresie przedwojennym, absolutną centralizację władzy w czasie wojny. Wojna obecna, prowadzona wszystkimi zasobami narodu, całą jego żywą siłą, wprzegająca w swą służbę cały ogół, prowadzona na

lądzie, morzu, w powietrzu, w fabrykach, warsztatach, na roli, uzależniona od samoobrony cywilnej, od produkcji sprzętu, żywności, odzieży, dowozu materiału i surowców, toczy się w warunkach zupełnie odmiennych, aniżeli w czasach, gdy wojsko było organem specjalnym, częścią sił narodowych, wyspecjalizowaną jako narzędzie wojny, główna zaś masa narodu miała za główne zadanie—poza zasilaniem swej siły zbrojnej—jedno tylko: przetrwać. Wtedy mógł rząd zdać w ręce wodzów prowadzenie wojny, troszcząc się tylko o odnawianie zasobów ludzkich i materialnych, co rzadko wymagało nadzwyczajnych wysiłków.

Dzisiaj wojna jest integralną i integralne musi być kierownictwo wojną. Funkcje rządzenia i funkcje dowodzenia na najwyższych szczeblach zachebiły się tak, że już niepodobna ich oddzielić.

Już w czasie wojny światowej nie wystarczyło Niemcom, że cesarz—Oberster Kriegsherr—rozkazywał formalnie zarówno zakamufłowanemu pod nazwą "szefa sztabu generalnego" naczelnemu wodzowi jak "cywilnemu kanclerzowi." Do zapewnienia jedności działania trzeba było rozprawy wewnętrznej między "cywilnym kanclerzem" a naczelnym dowództwem, które wzięło górę do czasu.

We Francji tarcia między dowództwem wojskowym a zmieniającym się rządem i interwencji parlamentu doprowadziły do groźnego kryzysu 1917 roku, poczem—za rządu Clémenceau—sędziwy ten trybun jacobinowski demokracji podporządkował sobie kierownictwo wojskowe i zapewnił konieczną jedność działania. Bez tego tytułu, on był faktycznym wodzem naczelnym francuskich sił zbrojnych w ostatnim roku wojny i nie na żarty przeważało go "Père la Victoire"—Ojcem Zwycięstwa.

Nie miała Francja takiego "Père la Victoire" w feralnym roku 1939-40. Demokracje zachodnie wchodziły w wojnę z władzą rządową słabą, w rękę ludzi kompromisu, obciążonych fatalnymi ustępstwami i niesławnymi kapitulacjami, niesionych przez podmuchy zmiennych nastrojów parlamentarnych, z źle skoordynowaną władzą nad siłami zbrojnymi, tylko przez rady gabinetowe związaną z ogólnym kierownictwem wysiłku narodowego. Z tym Francja poszła w przepaść. Wielką Brytanię ocaliła potężna wola Churchilla.

Zrządzeniem Opatrzności zna-

łaził się taki człowiek, łączący długie doświadczenie działacza politycznego i meza stanu z doświadczeniem bohaterskiego żołnierza kilku wojen, gruntowną znajomością praktyczną wszystkich spraw tamtej Wielkiej Wojny na lądzie i morzu. Szef rządu dojrzał, by dowodzić naczelnie, o geniuszu i charakterze wodza. Żołnierz dojrzał, by jako mąż stanu kierować losami Imperium i decydować o sprawach zasięgu światowego.

Winston Churchill jest dzisiaj nie mianowanym, ale czynnym w całej pełni wodzem naczelnym Imperium. W jego ręku spoczywa jedność działania Rządu J.K.M-ci i wszystkich królewskich sił zbrojnych, pozbawionych wspólnego, nadrzędnego dowództwa. Ma odpowiedzialność i władzę ogromną. Nie ujmuje to ani majestatowi Króla ani władzy Parlamentu; Premier jest ich sługą, sługą swego wielkiego narodu.

Nie przerażała się wielka demokracja brytyjska takiej ogromnej władzy skupionej w rękę tego potężnego człowieka. Naród zrozumiał, że w imię jedności działania musi skupić się przy tym, który wziął na siebie odpowiedzialność za jego ocalenie. Imię Churchilla stało się ponad dyskusjami politycznymi. Nikt nie myśli o tym, by go wyrzucić albo mu część władzy odebrać. Opozycji nie ma. Krytyka prasowa czy parlamentarna, nieraz wśród niepowodzeń ostra i wypowiadająca bez ogródek to, co uważa za prawdę, starannie omija premiera, zwracając się—słusznie, czy nie słusznie—przeciw tym jego współpracownikom, którzy nie są na poziomie jego energii i jego geniuszu. Brytyjczycy rozumieją, że zaufanie i cierpliwość są nieodzownym warunkiem zwycięstwa i że rozgrywki wewnętrzne w żadnym wypadku do zwycięstwa nie pomogą. Przemijają kryzysy w opinii publicznej, związane z kryzysami wojny. Z każdego kryzysu potężniejszą wychodzi postać wodza brytyjskiego Imperium.

Ameryka weszła w wojnę z zapewnioną konstytucyjnie jednością działania przez jej ustrój prezydencki, w którym Prezydent jest zarazem wodzem naczelnym, przyczem osobistość Roosevelta jest rękojmią rzeczywistego skupienia władzy w jego ręku. Połączenia władzy rządowej z wojskową nie obawia się największa demokracja świata.

W Polsce walczącej po katastrofie wrześniowej stanął u steru, za-

pewniając jedność działania, człowiek o ogromnym doświadczeniu politycznym—były minister i premier z okresu rządów parlamentarnych—i wielki żołnierz, jedyny z wodzów obecnej wojny, który poprzednio dowodził zwycięską armią na polach bitew. Dawno, kilkanaście lat temu, Sikorski jako mąż stanu widział zarysowującą się groźbę obecnej wojny, wiedział, skąd grozi niebezpieczeństwo i jakie; jak Churchill Wielką Brytanię, tak on Polskę latami całymi budził i ostrzegał, jak on nie dość słuchany i rozumiany.

Sikorski jako szef Sztabu Generalnego zbudował po tamtej wojnie nasze siły zbrojne lądowe tak, że budowa, mało zmieniona, dotrwała do wojny obecnej; jako minister przygotował ich rozbudowę do stanu nieporównanie wyższego, aniżeli osiągniętego w roku 1939. On dał początek budowie naszej floty wojennej i portu wojennego. On nadał potężny impuls rozwojowy naszemu lotnictwu, silniejszemu o wiele w roku 1925 aniżeli w roku 1939.

Churchill był pierwszym w wojnie światowej z ludzi kierowniczych, który docenił przyszłość czołga. Sikorski przewidział zaawansowanie i zapowiedział rolę czołga i motoru w wojnie obecnej. Gdy przyszła godzina najcięższej próby, Churchill, wbrew wszelkiej rachubie sił, nie zwatpił w zwycięstwo i swą wolę zwycięstwa narzucił swemu wspaniałemu narodowi. Sikorski wśród najcięższych ciosów nigdy nie utracił wiary w zwycięstwo, dzieląc ją z cierpiącym i walczącym, niezłomnym naszym narodem. Churchill jest "sługą Króla i Parlamentu." Sikorski był zawsze i jest sługą narodu polskiego, posłusznym jego prawom i jego woli.

Jest to okolicznością niewypowiedzianą pomyślną, że tak właśnie rozwiązano przy zachowaniu ciągłości prawnej i poszanowaniu litery obowiązującego prawa zagadnienie kierownictwa wojennego po naszej stronie w toczącej się walce o wyzwolenie i istnienie narodu. Są wśród nas politycy, którzy przed długie lata walczyli przeciw ideom i instytucjom demokratycznym, a dziś martwią się, że taki stan rzeczy nie godzi się z demokracją. Są inni, starzy zwolennicy ustroju parlamentarnego, którzy upierają się, że teraz, właśnie w toku walki na śmierć i na życie, władza cywilna winna być rozdzielona od wojskowej.

Jednym i drugim można by powiedzieć, że ocalenie ojczyzny jest najwyższym prawem, ale i to zbędne, gdy obecny stan rzeczy jest z obowiązującym prawem w zgodzie. Pozostaje jednym i drugiem poradzić: niech zajmą się raczej kumulacją władzy przez Washingtona i Kościuszkę, odwracając się od groźnej teraźniejszości, w której pierwszym przykazaniem musi być: nie przeszkadzać.

Jeśli wspominamy o tym, czynimy to jedynie dlatego, że literatura polityczna fondyjskiej emigracji traktująca te zagadnienia, bywa i w wojsku czytana i może siał niepokój w umysłach żołnierzy. I dlatego chcemy stwierdzić, że nasze żołnierskie sumienie jest spokojne. Że pragniemy jedności działania u steru, a jedności, solidarności i dyscypliny wszędzie: w wojsku i w wszystkich siłach zbrojnych i w całym narodzie polskim, który stanowi Polskę Walczącą.

NA ODCINKU

Adamowi Bogoryi—Zakrzewskiemu

Za jaśnią szeroką, za morzem głębokim—
tam Polska.

Zwój drutów.

Pozycje.

Gdzie Polska?

Pikieta wzdłuż plaży.

Zakryta obłokiem.

Ty z bronią—na warcie. A serce—na straży.

Nie dojrzysz, choć tęsknisz, choć
słyszysz, że woła . . .

Kierunek—od serca. Dłoń przyłoż do czoła.

Rybitwo strzelista, żeglarko podniebna,

za tobą mnie wabi przestrzenią dal srebrna! . . .

Nie zejdziesz z pozycji. Swej warty nie rzucisz.

Wyteśkniesz. Doczekasz.

Zwycięzysz. Powrócisz.

Błękitni się morze zmarszczoną oponą.

Na brzegu dalekim cię z konia zsadzono.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

MARIAN KUKIEL

WYSPY FILIPIŃSKIE



Archipelag filipiński dopiero od niedawna, zaledwie od czterdziestu lat należy do Stanów Zjednoczonych. Poprzednio był on częścią wielkiego imperium hiszpańskiego, tego imperium, w którym słońce nigdy nie zachodziło. Hiszpania musiała odstąpić wyspy filipińskie dopiero po nieszczejliwej wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, w roku 1899.

Wojna ta, jak wiadomo, nie toczyła się o Filipiny, ale o wyzwoleń Kuby z pod panowania hiszpańskiego. Zdobyte Filipiny, na których zresztą wybuchło powstanie niepodległościowców filipińskich, dążących do zrzucenia znienawidzonego jarzma hiszpańskiego—stanowiło jedynie epizod w tej wojnie, i w zasadzie nie przesądzało losu archipelagu. Imperialiści amerykańscy z ówczesnym prezydentem Stanów, Mac Kinleyem i Teodorem Rooseveltem na czele wystąpili od razu z żądaniem wcielenia Filipin do Stanów, spotkali się jednak w swoim kraju z niezwykle silną opozycją i wiadomo, czy byli by zwyciężli,

gdyby nie... Wilhelm II.

Ten pająk, który uważał, że przy każdej okazji należy zarobić, wystąpił w Londynie z propozycją podziału całego spadku kolonialnego po Hiszpanii między Niemcy i Anglię. Wielkiej Brytanii takie usadowienie się Niemiec na Pacyfiku oczywiście nie dogadzało, z drugiej strony rząd angielski, który był właśnie w okresie starań o jak najlepsze stosunki z Niemcami nie chciał wprost odrzucić propozycji cesarskiej. Znalazł więc wyjście pośrednie. Dnia 20 lipca 1898 ambasador Stanów w Londynie, Hay, wysłał do Waszyngtonu depeszę, w której stwierdził, że rząd Wielkiej Brytanii uważa zajęcie Filipin przez Stany Zjednoczone za rzecz pożądaną.

Ta depesza przechyliła szalę na korzyść aneksjonistów. I tak jednak, gdy przyszło do głosowania w Senacie zajęcie wyspy uzyskało zaledwie jeden głos ponad ustawowo konieczną większość dwóch trzecich. Tak silne były opory moralne przeciw polityce zaborczej

—inne względy bowiem nie odgrywały wówczas roli. Nastąpiło kilka lat, w czasie których wojska amerykańskie musiały z kolei walczyć z gerylasówką niepodległościowców filipińskich, poczem sytuacja się ustaliła. Filipiny otrzymały nader szeroki samorząd z własnym parlamentem i nawet własnym prezydentem, kapitały amerykańskie ożywiły życie gospodarcze, wzrósł dobrobyt, podniosła się oświata.

Wreszcie w 1932 roku Kongres uchwalił, że z dniem 1 stycznia 1946 Filipiny otrzymają zupełną niepodległość, w tym czasie zaś rola Stanów ograniczy się właściwie jedynie do obrony Filipin przed niebezpieczeństwem zewnętrznym. Bowiem w latach między datą zajęcia Filipin, a postanowieniem przywrócenia im niepodległości nastąpił szereg istotnych zmian w sytuacji światowej, które sprawę filipińską postawiły na nowej płaszczyźnie.

Przed wszystkim na arenie światowej zjawilo się nowe mocarstwo zaborcze i imperialistyczne: Japonia. Filipiny w pojęciu japońskim stanowiły część japońskiego *Lebensraum'u*, winny były przejść pod japońskie władanie. Nie ulegało wątpliwości, że tego dnia, w którym by amerykańskie wojska opuściły Filipiny zjawilyby się tam wojska japońskie. Zajęcie Filipin przez Japonię dawałoby jej pierwszorzędną odskocznice do dalszej ekspansji na morzach południowych. Filipiny stawały się więc pierwszą linią obronną kontynentu amerykańskiego przed parciem Japonii. Dlatego też wprowadzenie w życie niepodległości Filipin zostało odłożone aż do roku 1946, to jest do daty, która według wszelkich przewidywań była późniejsza od tej ostatecznej rozgrywki.

Dlaczego jednak w ogóle Kongres uchwalił niepodległość Filipin? Skąd to bezinteresowne zrzeczenie się posiadłości? Pisałmy wyżej, że już w chwili zaboru istniała w Stanach silna opozycja, powodująca się względami idealistycznymi. Niewątpliwie w postanowieniu Kongresu z 1932 roku i te względy odegrały rolę. Decyzja ta była w zgodzie z ogólną polityką Roosevelta dążącą do tego, aby zastąpić przez stosunki dobrosąsiedzkie bezpośrednią ingerencję Stanów w sprawy państw innych. Polityka ta wyraziła się w unieważnieniu *Platt amendment* na Kubie, w wycofaniu wojsk amerykańskich z Haiti i Nicaragui i t.d.

Ale odegrały swą rolę i względy

inne. Filipiny, jako całość nie stanowiły dla Stanów interesu. Stany dokładały do ich posiadania. Część przemysłowców amerykańskich zarabiała na Filipinach: mieli tam dostęp do pewnych surowców, mieli rynek chroniony przed obcą konkurencją wysokimi cłami. Dla dwu potężnych grup jednak Filipiny były nieznośnym ciężarem.

Pierwszą z nich stanowili farmerzy, którym produkty rolne z Filipin, z powodu różnicy standardu życiowego znacznie taniej wyprodukowane, obniżały cenę ich własnych produktów. Drugą grupą były amerykańskie związki zawodowe. Wiadomo, że ograniczenia imigracyjne Stanów w znacznej mierze były narzucane przez związki zawodowe, które obawiały się emigrantów europejskich, jako taniej siły roboczej, obniżającej płace. Takim samym a jeszcze tańszym robotnikiem był Filipino. Póki Filipiny należały do Stanów, żadnych ograniczeń imigracyjnych w stosunku do nich nie można było przeprowadzić.

Tego że Filipinicy sami nie przestawali dążyć do pełnej niepodległości nie trzeba tłumaczyć. W Stanach przemagały się dwa poglądy. Gdy Kongres po raz pierwszy uchwalił niepodległość Filipin, Hoover, ówczesny prezydent, założył sprzeciw. Oświadczył: „Jesteśmy powiernikami tego kraju i nie wolno nam w imię naszych interesów egoistycznych porzucić tego powiernictwa.” Podług Hoopera, reprezentanta interesów przemysłowych Stanów Filipinos byli „nieodrzalni” do niepodległości. Kongres jednak ponowił swą uchwałę i Roosevelt ją zatwierdził.

Dzisiaj widzimy mądrość tej polityki. Co jest bowiem znamiennie w obecnych walkach, to to, że—po za garstką faszystów miejscowego autoramentu—nie ma „piątej kolumny” filipińskiej. Filipinicy walczą ramię przy ramieniu z wojskami amerykańskimi i uważają Amerykanów nie za znienawidzonych okupantów, ale za obrońców wolności Filipin. A to i dziś, i później, gdy trzeba będzie Filipiny Japończykom odbierać ma pierwszorzędną znaczenie.

Inne „pięte kolumny” natomiast na Filipinach działały w pełni i w znacznej mierze przyczyniły się do powodzenia japońskiego. „Kolumn” tych było trzy. Pierwszą z nich oczywiście stanowili sami Japończycy. Japońska kolonia na Filipinach była nie-

zwykle liczna. Względnie nieostra polityka imigracyjna pozwalała im się osiedlać i zajmować godne stanowiska strategiczne. Tak np. na szeregu wysp Japończyk posiadali ziemię, na której potem lądowały aeroplany japońskie. 80% flotylli rybackiej Filipin było kontrolowane przez Japończyków. To znaczy, że nie tylko japoński sztab generalny miał wszelkie informacje o możliwościach lądowania, ale miał do rozporządzenia na miejscu flotyllę transportowców.

Drugą grupę dywersantów stanowili Niemcy, zarówno osiadli oddawna jako kupcy i t.d., jak i świeży „turyści” z pod znaku Gestapo. Koordynatorem ich był niejaki dr. Hans Lautenschlager, który uprzednio „pracował” w Szanghaju.

Trzecią grupę wreszcie formowali falangiści hiszpańscy. Hiszpania Franca przypomniawszy sobie, że nie tak dawno jeszcze Hiszpanie jako panowie rządili „ciemnymi” Malajami filipińskimi i zaczęli między Hiszpaniami pozostałymi na wyspach szerzyć nie tylko ideały totalizmu, ale i nadzieje powrotu władzy hiszpańskiej. Szkoły—przy pomocy kleru, bardzo wpływowego na Filipinach—zostały objęte przez falangistów. Prospekt jednej z tych szkół mówi: „Młodzież będzie się uczyła historii, geografii i literatury kraju macierzystego, tak samo jak ich bracia i siostry na półwyspie.” Ojciec Silvestre Sancho zaś, dyrektor największego gimnazjum filipińskiego oświadczył publicznie, że nie uznaje rządów ani amerykańskich, ani filipińskich, bo „Filipiny są częścią Hiszpanii.” Otóż ci falangiści hiszpańscy za pośrednictwem Lautenschlagersa weszli w porozumienie z miejscowymi Japończykami i stanowili trzecią podporę „piątej kolumny.”

Japończycy ich pokwitowali. W szkołach filipińskich mają obecnie obowiązywać dwa języki: japoński i hiszpański. Jeszcze pomoc Falangi jest potrzebna i na Filipinach i w Południowej Ameryce—zarówno Japończykom, jak Niemcom. Gdyby jednak Japonia zwyciężyła, Franco rychło by się przekonał, że to nie dla niego wojska Mikada zdobyły Filipiny.

Tylko do tego nie dojdzie. Filipiny zapewne będą czasowo zajęte. Ale na krótko. Po wojnie zaś rządzą nimi będą nie Japończycy i nie Hiszpanie i nie Amerykanie, ale sam lud filipiński.

CZESŁAW POZNAŃSKI

GROZBA JAPONSKA ROSNIE

Wypadki na Dalekim Wschodzie postępują w ostrym tempie. Zagrożenie Singapuru rośnie, albowiem armie japońskie pra w stronę cieśniny morskiej, dzielącej półwysp malajski od wyspy, na której znajduje się twierdza Singapore. Wydaje się, że siły brytyjskie, które stawiają opór na lądzie stałym nie mogą być nadmiernie duże.

Utrzymanie jednak lądu stałego jest zadaniem ważnym, jeżeli nie wprost koniecznym, albowiem inaczej odstąpi sam Singapore na atak powietrzny Japończyków. Jeżeli trzeba będzie porzucić ląd stały, to wówczas Singapore polegać będzie musiał wyłącznie na własnych trzech lotniskach, a zatem dopuszczal bombowce japońskie na nader bliski dystans, zanim myśliwce angielskie będą mogły podnieść się ze swoich baz na wyspie.

Japończycy nie tylko dobierają się od strony lądu do Singapuru, wiedząc doskonale, że atakowanie jego od strony morza byłoby zadaniem więcej niż nieprzyjemnym. Ich akcje, rozrzucone i nader pomysłowe, idą *wichrowato* ku rozmaitym punktom na Oceanie Spokojnym. Japończycy lądują gdzie się da, dowodząc, że opanowali świetnie sztukę desantu. Ludziska zaprawieni w robocie riksów ciągną przez rozlewiska wody bez sprzeciwu i z wprawą działa i wszelaki sprzęt na sznurach.

Japończycy pokazali światu, że odrabiają wojnę w trudzie i *pocie* czoła, że przygotowywali się do niej długo i mozolnie i że już od dziesięciu lat marzą o ataku na Australię /od tego bowiem czasu umacniali Wyspy Karolińskie/, że rozwinęli bombowce dźwigające torpedy celem atakowania wielkich jednostek morskich, że

lotnictwo ich nie jest ani takie słabe ani takie materiałowo łąche, jak to opowiadano.

Oczywiście Japonia zabiega o szybki sukces, albowiem jest państwem krótkiego oddechu i musi wiedzieć, że Stany Zjed. skoro tylko rozrzucają swoją produkcję, będą dla Japonii śmiertelnie groźne.

Japonia wie o tym wszystkim i łapie zdobycz w gorączkowym pośpiechu. Całe zagadnienie polega na tym, ażeby temu japońskiemu pośpiechowi przeciwstawić również pośpiech i ażeby zahamować przynajmniej w paru najważniejszych punktach parcie japońskie.

STRATEGIA DALEKIEGO WSCHODU

Australia zaniepokojona jest postępiami japońskimi i uderzeniem na Nową Gwineę. Wzywa zarówno Londyn jak Waszyngton do udzielenia pomocy w lotnictwie, żąda również przedstawicielstwa w gabinecie wojennym. Wydaje się, że utworzenia imperialnego gabinetu wojennego nie da się już obecnie zbyt odwiekać. Przedstawiciele Australii, Nowej Zelandii, Pół. Afryki i Kanady mieliby wejść do Imperial War Cabinet. Byłoby to krok zupełnie zrozumiały, albowiem wojna rozprzerstreniła się na całe Imperium i ma ono słuszne powody, ażeby żądać udziału w planowaniu i wykonywaniu tej wojny.

Strategia na Dalekim Wschodzie musi być wcielona w życie jak najszybciej. General Wavell musi otrzymać zenerał Luddi. Najwięcej zawisło od Ameryki, albowiem ona może dać zarówno

jedno, jak i drugie prędzej i łatwiej, aniżeli stara ojczyzna—Anglia.

BLISKI WSCHÓD—ZAGADKA

W Libii generał Rommel otrzymał posiłki i przeszedł do ofensywy. Port w Trypolisie rażony jest bombami maszyn brytyjskich, które podnoszą się z lotnisk wokoło Benghazy i dlatego trzeba utrzymać Benghazy—inaczej Trypolis będzie niejako swobodniejszy w ruchach a transporty niemiecko-włoskie będą dążyły do portów Trypolitanii szerszą strugą.

Sytuacja na Morzu Śródziemnym zaczyna się robić nieco zawiła. Ataki na Maltę mnożą się, co by wskazywało, że jednak jest to wstęp do jakiejś drastyczniejszej akcji/na południu Włoch przebywa jeden z zdolniejszych generałów niemieckich, Geissler, specjalista od wojny lotniczo-desantowej/. Hiszpania zachowuje się również tak jakby szła na dalsze ustępstwa wobec Rzeszy.

Z tej to racji prasa brytyjska zaczyna co raz mocniej podejrzewać, że jednak Hitler nie wytrzyma do wiosny czy do lata, kiedy zapowiada uderzenie w Rosji, ale że przedtem postara się o jakąś „bombę” w basenie Morza Śródziemnego.

Akcia Rommla dowodzi, że Rzesza nie rezygnuje ze swojego afrykańskiego atutu. Rommel jest dla Niemców sprawą prestiżu, jest cierniem, który Rzesza zamierza dalej utrzymać. Załatwienie się z Rommlem staje się niebawem pilnym zadaniem brytyjskiej strategii.

Szkic sytuacyjny

FRONT SOWIECKI PORUSZA SIĘ

Armie sowieckie idą na przód stale, a jak powiada doniesienia ze źródeł neutralnych, kwatery główna Hitlera, która znajdowała się dotychczas w Smoleńsku została cofnięta do Mińska. Szef sztabu głównego, generał Halder, przebywa podobno jeszcze w Smoleńsku, ale sam Hitler wyprowadzić się miał do Mińska.

Niewiadomo w danej chwili jak przedstawia się sprawa dowództwa na froncie wschodnim, po wszystkich tajemniczych chorobach, zgonach i usunięciach, jakie dokonały się w ostatnich tygodniach w generacji Niemiec. Wydaje się, że czystka, którą Hitler przeprowadza wśród generacji jest wcale dokładna. Dawni przyjaciele i zausznicy idą pod nóż, podobnie jak poszli kiedyś przyjaciele z pod znaku Roehma.

Czystka generalska nie przyczyni się napewno do wzmożenia wiary w zwycięstwo w społeczeństwie niemieckim, przeciwnie, wywoła obawy najgorszego gatunku—albowiem przeciętny Niemiec wierzy w swoje wojsko, wierzy w swoich generałów. Jeżeli chodzi o żołnierza niemieckiego, to dla niego fakt, że dowództwo naczelne nie przewidywało trwania kampanii wschodniej i że zaopatrzenie było niedostateczne—to również cios nielada.

Wszystko wskazuje na to, że dowódca niemiecki nie może wydobyc ze swojego żołnierza ani części tego, co mógł zeń wydobyć jeszcze przed kwartałem. Wydaje

się, że nastroje w armii niemieckiej w Rosji są łąche. Nic dziwnego, że w tych warunkach Hitler zdecydował się postać spore ilości swojego żołnierza na urlopy, odkarmienie, odpoczynek. Liczy na to, że wypoczęty żołnierz będzie miał więcej bitewnej ochoty na wiosnę.

Tego rodzaju decyzja była jednak mocnym ryzykiem, bo oto pociągnęła za sobą cofanie się na pociągnięte pozycje. Ale gdzie są te upatrzone pozycje? Czy jest to linia budowana przez dra Todta gdzieś na Dnieprze? Czy Niemcy będą zmuszeni wypuścić Leningrad z oblężenia, czy także będą musieli cofnąć się z Krymu?

Zajęcie Smoleńska, odwrót niemiecki z pod Leningradu, opuszczenie Krymu, oto byłyby trzy wskazówki, że armia niemiecka poniosła klęskę nielada i że armie sowieckie są w ofensywie na całego. Do kwietnia zadecyduje się wiele, jeżeli chodzi o operacje wschodnie. Nie tylko bowiem chodzi o to, ażeby posunąć się dalej i głębiej w teren zajęty przez wroga, ale aby sparaliżować w zarodku wszelkie próby stworzenia wypadu niemieckiego, przygotowania ofensywy wroga.

To jest właśnie zadanie, jakie stoi przed armią sowiecką. Widzimy, że nie jest to zadanie łatwe. Ale dowództwo sowieckie ma wiary, że wykona to zadanie. Dotychczasowy przebieg kampanii dowodzi, że dowództwo to pocyna sobie mądrze i rozsądnie, że przygotowuje swoje akcje starannie i że daje sobie radę z olbrzymimi trudnościami. Stalin jest pełen optymizmu i ufności; jako człowiek trzeźwy musi mieć w ręku atuty, które pozwalają mu głosić optymistyczne zapowiedzi.

Londyn, 26-ego stycznia 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Książki o wojsku i wojnie

Obrona dynamiczna

Rok już mija od chwili, gdy na półkach księgarskich pojawiła się broszura kpt. Liddell Hart'a pt. "Dynamic Defence." W czerwcu ub.r. wyszedł jej przekład na język polski. Zarówno treść tej niewielkiej książki jak i sama osoba jej autora, zasługują na to, by ją nieco szerzej omówić.

Kpt. Liddell Hart, który zresztą z armią czynną związany jest od dawna tylko swym tytułem wojskowym, nie jest autorem szukającym taniej popularności i wydeptującym wytarte ścieżki. Dwudziestolecie jego działalności publicystycznej i pisarskiej zawiera szereg pozycji, dowodnie wykazujących jego zdecydowane, wyrobione zdanie o nowoczesnej wojnie, jej wymaganiach i jej potrzebach. W okresie, kiedy prądy pacyfistyczne wpływały na ścieśnianie budżetu wojskowego W. Brytanii, domagał się tworzenia nowoczesnej, zmechanizowanej armii.

Wystąpienia jego czy to w prasie czy w książkach miały już ustaloną opinię. W każdym razie nie jest to lektura usypiająca. Liddell Hart ma temperament dziennikarski, pisze śmiało, dobitnie, nie przebiegając w porównaniach i nie cofając się przed atakowaniem uznanych powag i osób stojących w danej chwili u władzy. Nie darmo sędziwym generał Sir Ian Hamilton nazywa go "najbardziej dalekowzrocznym i pobudzającym do myślenia pisarzem wojskowym naszych czasów." Jako autor ma jeszcze jeden talent: oto umie pisać na tematy poważne, fachowe w sposób dostępny dla szerokiego ogółu. Umie zainteresować czytelnika złożonymi i—zdawało by się—suchymi zagadnieniami wiedzy wojskowej.

Od wielu, wielu lat by Liddell Hart zdecydowanym, niestrudzonego zwolennikiem i propagatorem unowocześnienia sił zbrojnych przez rozbudowę samodzielnego

lotnictwa i stworzenie potężnej broni pancernej. Domagał się organizowania wielkich jednostek pancernych, wtedy, kiedy dopuszczano zaledwie możliwość powiększenia ilości istniejących batalionów czołgów, jako wsparcia piechoty. W 1924 r. twierdził, że "najlepszą bronią przeciwczołgową jest inny czołg," dwa lata później pisał, że "najlepszym wsparciem natarcia czołgów będzie współdziałanie lotnictwa nurkującego zamiast artylerii," a od 1920 r. głosił, że "manewr, oparty na pełniejszym zastosowaniu gąsienicowego napędu a nie na masach ludzkich jest kluczem zwycięstwa."

Dzisiaj, po dwóch latach wojny, po sukcesach niemieckich dywizji pancernych w Polsce i na Zachodzie, po kapitalnie przeprowadzonej przez gen. Wavell'a kampanii libijskiej, po siedmiu miesiącach zmagania sowiecko-niemieckiej, takie zdania są przez wszystkich uznane za trafne. Ale jak to było poprzednio? Najwięksi dzisiaj propagatorzy mechanizacji i motoryzacji armii, publicznie odżegnywali się od takich herezji jak n.p. decydujące znaczenie czołga w przyszłej wojnie.*

Niewątpliwie, kpt. Liddell Hart ma dar trafnego przewidywania roli sprzętu w wojnie nowoczesnej. To też poglądy jego, zwięzłe wyłożone w przetłumaczonej na polski broszurce, wart są przeczytania. Broszura powstała jednak jako zbiór kilku artykułów, publikowanych poprzednio w prasie codziennej czy periodycznej. To nadaje jej specyficzny charakter, to powoduje, że ton jest namiętny, nieraz brzmiący jak oskarżenie.

Interesujące dla Polaka są jednak głównie te rozdziały, w których autor precyzuje swoje poglądy na rolę nowoczesnego sprzętu.

* Wydaje się wskazane podkreślenie różnicy między dwoma tymi pojęciami: wojska "zmotoryzowane" to oddziały, podwołone do akcji, ale walczące bez pojazdów /np. kawaleria czy piechota zmotoryzowana/, natomiast wojska zmechanizowane idą ze swoim motorowym sprzętem w bój /np. czołgi/.

Samodzielność lotnictwa jako siły zbrojnej na równi z armią lądową czy flotą, jest dla niego—rzecz zrozumiała—podstawowym założeniem. W armii lądowej natomiast rozstrzygającą rolę przynajmniej broni pancernej. Pojęcie broni pancernej w jego rozumieniu nie dotyczy samych tylko czołgów, ale wszystkich rodzajów broni i służb, które razem tworzą wielką jednostkę pancerną. W obrębie znów takich wielkich jednostek pancernych, "dywizji pancernych" według doktryny niemieckiej, czołowe miejsce zajmują czołgi. Czołowe, ale nie wyłączne. Bo i w tej książce i w swych licznych innych publikacjach, autor zawsze podkreśla znaczenie nowoczesnej, zmechanizowanej, wielkiej jednostki.

To podkreślenie uważamy za szczególnie ważne, gdyż w polskiej prasie i opinii, nieraz i wśród fachowców panuje pod tym względem pewne pomieszanie pojęć. Wprowadza się pewne hierarchizowanie, pewne nadrzędności czy podrzędności broni czy służb. A istotną sprężyną hitlerowskich "Panzerdivisionen" jest właśnie doskonałe, idealne niemal zgranie wszystkich członów, wchodzących w skład tej wielkiej jednostki zmechanizowanej. Nie ma akcji czołgów bez rozpoznania motocyklowego i samochodami pancernymi, nie ma akcji czołgów przy opozycji ze strony przeciwnika bez wsparcia przez zmotoryzowaną artylerię, czy, gdy nieprzyjaciel

nie ma wreszcie akcji czołgów bez pomocy i to jak najściślejszej pomocy zmotoryzowanych saperów, bez doskonale działającej łączności. Więc nie rozbudowa takich czy innych samodzielnych oddziałów, ale ich zgrywanie, ich zbliżanie do siebie, ich zbratanie, przy całkowitym zatarciu przestarzałych przesądów o wyższości tego czy innego proporczyka, o różnicy między bronią czy służbą.

Ale broszura kpt. Liddell Hart'a mało mówi o organizacji tych wielkich jednostek, których tworzenia zamiast niezliczonych rzeszy źle wyposażonych a nawet niecałkiem umundurowanych dywizji piechoty domagał się przed wojną i już po jej wybuchu. Autor przeprowadza natomiast tezę, że metoda czołowego, frontального uderzenia odchodzi obecnie do lamusa dawnych taktyk, a zastępuje ją wyszukiwanie "słabego miejsca," atak niejako na próbę: a nuż się uda.

I tezę tę przeprowadza bardzo konsekwentnie na przykładach kampanii 1940. Zapewne kampania sowiecka dostarczyłaby mu dalszych ilustracji. Bo istotnie, niemieckie dowództwo /a teraz za jego wzorem dowództwo rosyjskie/ uderza w różnych punktach, ale dopiero w tym rejonie, gdzie wstępne uderzenie zdoła wybić wylom, rzuca posiłki i wyrwę poszerza, wydłuża, rozciąga, umacniając co raz bardziej jej ściany i zmuszając przeciwnika do krwawych a bezskutecznych przeciuderzeń. Autor twierdzi, że nowoczesna wojna wykazała wyższość elastycznej, dynamicznej, sprężystej, ruchliwej obrony nad uderzeniem, oczywiście pod jednym tylko warunkiem: że dynamiczna obrona rozporządza w danym miejscu przewagą 3:1.

I tu trafiamy na brak odpowiedzi na pytanie: Co będzie w razie spotkania dwu przeciwników o równej sile? Oczywiście, w broszurze wykazującej wyższość nowoczesnego sprzętu i nowoczesnej taktyki nad staromodnymi, milionowymi armiami nie ma co

szukać recept na zwycięstwo niezawodne. Autor wykazuje dlaczego milionowe armie francuskie zostały rozbite niemal przed ich wprowadzeniem w akcję, dlaczego nakazywane przez Weyganda kontrataki były skazane na niepowodzenie. I przede wszystkim wykazuje, że pomimo, iż Niemcy zaatakowali Holandię i Belgię, to właściwie akcję ofensywną prowadzili Sprzymierzeni. Oni bowiem opuścili dobre, uprzednio przygotowane stanowiska nadgraniczne i zapuścili się na teren Belgii, która do ostatniej chwili skrupulatnie przestrzegła swej neutralności i broniła się nawet przed informacyjnymi rozmowami przedstawicieli sztabów belgijskiego i Sprzymierzonych. I ten pogląd autora jest może najciekawszy. I—powiedzmy szczerze—przekonywający.

Zdaje się, że można by wniosek z książki zamknąć w jednym zdaniu: działania ofensywne wymagają znacznie większego przygotowania zarówno w sprzęcie i zaopatrzeniu jak i w planowaniu, niż obrona. Jednak ta teza bynajmniej nie jest zachwalaniem obrony jako sposobu wygrywania wojny. Przeciwnie. Jest zachętą do tym staranniejszego przygotowania się pod każdym względem i na każdym szczeblu do działań ofensywnych, do "manewru szybkich czołgów na tyły przeciwnika dla sparaliżowania jego komunikacji i dowodzenia."

Przekład staranny i sumienny sprawia, że polskie wydanie czyta się z tym samym zacięciem co oryginał, pisany z dużym zacięciem i rozmachem. Zastrzeżenie może wzbudzić stosowane przez tłumacza wyrażenie: "Królewski Korpus Pancerny" na "Royal Tank Corps" z poprzedniej wojny. W polskim słownictwie wojskowym korpus ma znaczenie raczej administracyjne /D.O.K./ albo operacyjne /niemieckie "korpusy pancerne"/, złożone z dwóch lub więcej dywizji pancernych/. Natomiast R.T.C. odpowiada raczej dowództwu Czołgów.

STEFAN KOSSAK

Dnia 12 stycznia 1942 nastąpiło otwarcie

POLYGLOT TRANSLATION SERVICE LTD.

Polskie Biuro Tłumaczeń. Pokój 272, Terminal House (naprzeciw stacji Victoria), 52 Grosvenor Gardens, Tel.: SLO 7059. Przyjmuje się tłumaczenia we wszystkich językach Europejskich oraz tłumaczenia: handlowe, prawnicze, naukowe, literackie i techniczne. Stenografia i pisanie na maszynie w językach obcych. Redagowanie podań i dokumentów oficjalnych. Lekcje języków. Dla Polaków ceny niższe.

Otrzymałmy następujące listy:

W rozmowach z Polakami na wyspach brytyjskich daje się wyrazić, że całe ich życie uczuciowe podbarwione jest, mniej lub więcej jasno uświadomianym sobie, statym wyrzutem: "Jesteśmy tak uprzywilejowaną emigracją wobec gehenny Polaków w kraju, czy w Rosji, że ten szczęśliwy los dręczący i upokarzający i raz wraz czynić każe rozrachunki z sumieniem."

Niestety wyciągnięcie praktycznych wniosków z tego poczucia strasznego zadłużenia moralnego wobec naszych braci następuje z nadzieją, niż by to się gorętszym z nas i wrażliwszym zdawało. Jednym z pobranych naszego stosunku do tej postawy moralnej jest sprawa pomocy Polakom w Rosji. Przebieg i atmosfera akcji zbiorowej nie dla wszystkich są zadowalające.

Wiemy, że odpowiedź żołnierza na ten apel może największej potrzeby dziejowej była zdumiewającym odruchem żywiołowej ofiarności, zebrano poważne sumy i wiele darów w naturze, ponadto szereg oddziałów wprowadził stałe opodatkowanie na ten cel. Jednakże opodatkowanie to nie jest jednolite, nie pociągnięto za sobą proporcjonalnego w stosunku do uposażenia obciążenia, a wyniki tej pierwszej wielkiej zbiórki w armii, nie wiadomo dlaczego, nie zostały opublikowane.

Jeszcze gorzej przedstawia się ta sprawa w cywilnym odłamie emigracji. W Polsce uginaliśmy się pod ciężarem różnych, mniej lub więcej dobrowolnych, pożyczek, a ponadto każde żywiołowe nieszczęście, dajmy na to: wylew Samy, powodowało natychmiastową reakcję społeczeństwa, formowanie Komitetu Ogólnego i regionalnych oraz przeprowadzenie zbiorów najrozmaitszymi sposobami. Stoimy teraz w obliczu już nie powodzi, ale przerażającego potopu nieszczęść, a reakcja nasza jest oziębiająca i ślimacza. Nie powzięto żadnych zdecydowanych kroków ani w obozie prorządowym, ani po stronie opozycji.

Wyłączam tu zabiegi i starania Rządu idące w miliony dolarów, chodzi mi tylko o bezpośredni odruch społeczeństwa emigracyjnego. Nie słyszę statych apelów, a należało by się ich spodziewać, nie widać kroków w kierunku ogłoszenia progresywnej tabeli opodatkowania, jako standardu dla wszystkich, a wielu tylko takie postawienie zobowiązań. Fakt, że personel ambasady w Kujbyszewie oddaje 40 procent swych poborów na

Pomoc dla Polaków w Rosji

cele pomocy rodakom nie został opublikowany i wyszukan. "Dziennik Polski" tak skory do publikacji tematów rosyjskich ma skromny bilans w akcji propagandowej na rzecz pomocy.

Szczególnie zadziwia i rewoltuje milczenie, a kto wie czy i nie wrogość wobec tej akcji sfer t.zw. opozycji. W Stanach Zjednoczonych widzimy w "Nowym Świecie" wyrażone próby sabotowania pomocy przez wyolbrzymianie trudności transportowych, podrywanie z góry zaufania do pewności dostarczenia i należytego rozdzielenia, natomiast w Wielkiej Brytanii przyjęto metodę przemilczania sprawy.

"Wiadomości Polskie" zbierają na "fundusze stypendialne" zapominając o Rosji; wyspecjalizowały się natomiast w przedrukowywaniu "aktualnych" myślowo utworów z naszej przeszłości literackiej. Do kogo np. jest skierowany przedruk Juliana Klaczki w ostatnim numerze, zawierający m.i. takie zwroty:

"... po takich ciągach, jakie zadawała ręka Mikolajki, upojenie się dobroliwością Aleksandra daje się w części wytłumaczyć... Wyżel oświecony, skoro pan go bić przestanie, pelza mu u nóg, skacze do piersi z oznakami najwyższego przywiązania, rzucony batog podaje w zębach z takim zaufaniem radosnym jak gdyby był pewien, że już nigdy na niego nie będzie użyty..." "Wiadomości Polskie" wysyła się w dużych ilościach do Rosji. Istotnie odpowiednia dla Polaków tamecznych lektura.

"Myśl Polska" pozwoliła sobie na tego rodzaju współczucie w Nr. 17 "... Rzeczywistość ich /Polaków/ w Związku Sowieckim jest jeszcze bardzo ciężka. Rozumiemy np. ich radość z otrzymania brytyjskich mundurów, skoro przy 42 stopniach mrozu mieszkają w Buzutuku w namiotach..." Poza tym milczenie o sprawach pomocy i tylko złośliwe tu i ówdzie uwagi na temat stosunku Polaków w Rosji do Rządu gen. Sikorskiego.

Rekordem są "Fakty i dokumenty" p. Mackiewicza! Roztrząsając pozytywny stosunek Polaków w Rosji do gen. Sikorskiego pisze Mackiewicz dosłownie: "Należy tych ludzi zrozumieć. Żyją oni w stanie niernormalnym, w głodzie, nędzy i strachu więzienia i rozstrzelania, w ciągłej hańbie i poniżeniu

godności ludzkiej. W tych warunkach ich patriotyzm nabiera charakteru bezkrytycznej egzaltacji, która powoduje także bezkrytyczny i egzaltowany stosunek do polskiego premiera" /"Styczeń" str. 22/.

Do czego doprowadza nas zaciekłość polityczna, w jakie brniemy moralne bagno, że w t.zw. opozycji nie padł ani jeden głos za akcją pomocy Polakom w Rosji, że nawet nie przyszło im na myśl zaszczyć sferą rządową inicjatywę gorętszą w tym zakresie, lub po męsku przetrząść most ponad sporami politycznymi zgłoszeniem współpracy i przykładem ofiarności. P. Mackiewicz w zaślepieniu nie docenił wrażenia, jakie by np. uwarzył napis na jego wydawnictwie: "Całkowicie do chodź przeznaczam na pomoc Polakom w Rosji," zwłaszcza, że wszyscy członkowie Rady nadal pobierają pobory w pełnej wysokości i bez wykretołów mogą podejmować wizytujących ich lotników winem.

Wyrecają nas bardziej ludzkim zrozumieniem cierpienia Anglii i Szkoci. Kilka ośrodków prowadzi żywą i energiczną akcję. W Szkoci ogniskuje ją Pulc. Mitchell i oddziały T-ua Polsko-Szkockiego, w Anglii ze specjalnym apelem radiowym wystąpił znany publicysta Vernon Bartlett. Rezultaty tego apelu to blisko 3000 listów i ponad 2000 funtów w czekach oraz około stu paczek z darami w naturze, wszystko na przestrzeni kilku dni.

Większość listów przesyłająca swą zwięzłością, pisana strudzonymi rękami ludzi pracy. Często powtarza się wzruszające życzenie: "Niech Bóg błogosławi Polaków, którzy tyle cierpią dla sprawy Prawdy i Wolności." Robotnik angielski przysyła anonimowo funta, pisząc krótko: "Niech Bóg pomaga Polsce." Starzec 72 letni nie skąpi części renty dla "biednych ludzi, którzy stracili dom i ojczyznę." Wielekroć piszący wyrażają "największy podziw": dla "gallant allies," dla "niewypowiedzianego bohaterstwa," dla "dobrej sprawy" i t.d. Szczególniej wzruszającym jest krótki list robotnicy: "Moja matka emerytka, lat 83, przesyła 2/6, ja też nie mogę dać więcej. Nasze myśli i modlitwy są z tymi dzielnymi ludźmi,"—a wyjątkowo oddaje ducha tego narodu list inny: "Musimy pomóc dzielnyemu Polakom i życzyć im zdrowia, siły i odwagi, by pomogli zniszczyć Niemców, któ-

rzy niegodni są, by ich ta ziemia nosiła. Stara Kobieta." Tak zareagowali "zimni" Brytyjczycy!

Niech "Polska Walcząca" nie przestaje dzwonić na alarm o dalsze energiczniejsze prowadzenie zbiórki i ewentualne zorganizowanie Komitetu, jak to proponował p.A. Mamrot /w nr. 1 z b.r./.

Kłamstwem są plotki, że dary nie dojdą do miejsca przeznaczenia. Przesyłki odchodzą regularnie w równych partiach, ciągle otwarte są duże możliwości zakupów na Bliskim Wschodzie i przekazania tam sum zebranych. Argument, że cała nasza akcja może być mikroskopijnym ulamkiem wobec milionowych operacji rządowych jest tylko niegodnym wykretem.

Musimy zdobyć się na najwyższą ofiarności nie tylko dlatego, że te pieniądze coś zaważą na szali /a kiedyś "grosz wdowi" już szale tę przeważał/, ale głównie, żeby zachować godność narodową i ludzką i zmniejszyć ciężar "uprzywilejowania," który nam spokoju nie daje.

Adam Kujawski

Redakcja Polski Walczącej
Londyn.

Uprzejmie komunikuję, że personel staly Szkoły Pilotów zebrał na rzecz pomocy Polakom w Rosji sumę £ 162 sh 2 d 10 oraz kilkanaście paczek odzieżowych, które zostały przesyłane wraz z pieniędzmi do P.C.K.

Aby ofiarodawcy mieli zadowolenie moralne z wypełnionego obowiązku, a ci, którzy jeszcze nie zadeklarowali się, zachęte i podniecie do tej szlachetnej rywalizacji, proszę o umieszczenie na łamach poczytnego pisma podanego zestawienia.

Adiutant Polskiej Szkoły Pilotów

Kompania Saperów I Brygady Strzelców złożyła oprócz ofiar w naturze 38 £ 15 sh 6 d w gotówce.

Szanowny Panie Redaktorze, przesyłając załączony czek na pięć funtów na pomoc Polakom w Rosji, przepraszam, że obarczam Pana osobliwie obowiązkiem udawania się do banku (tylko Lloyda) celem wykupienia go. Stacja, na której jestem, jest dość oddalona od poczty i trudno o "postal order."

Stanowczo proszę o nieumieszczenie mojego nazwiska w piśmie (w rubryce ofiar); o ile konieczne jest wymienić wpływ—proszę zaznaczyć: por. uc. pil. X.Y.

Szanowny Panie Redaktorze, przepraszam bardzo za fatygowanie Sz. Pana, ale doprawdy nie mogę w tej chwili znaleźć nigdzie adresu Polskiego Czerwonego Krzyża, któremu chcę przelać tę drobną sumkę na pomoc Polakom w Rosji czy też gdziekolwiek indziej—jedynym środkiem łączności jest w chwili obecnej Pański adres, który znalazłem w jednej z Pańskich gazet. Korzystam więc z tego wierząc, że nie odmówi mi Pan tej drobnej przysługi i prześle pieniądze pod wspomnianym adresem—a raczej do wspomnianej instytucji, której adres chwilowo nie posiadam. Proszę broń Boże nie ogłaszać żadnego pokwitowania w gazecie lub gdziekolwiek indziej—wstać i koniec—
Z poważaniem
J. W. por mar. woj.
Sumę 3 funtów załączam.

Szanowna i Kochana Redakcjo!

Przesyłając w załączeniu kwotę 1£ i 10 sh./jeden funt i dziesięć szylingów/prosimy uprzejmie o zamieszczenie możliwie w najbliższym numerze "Polski Walczącej" w dziale ogłoszeń o składkach następującej wzmianki:

Czołówka Teatralna W.P. "Lwowska Fala" zamiast upominku imieninowego dla swego kochanego Kierownika Wojskowego składa kwotę 30 szylingów na pomoc Polakom w Rosji.

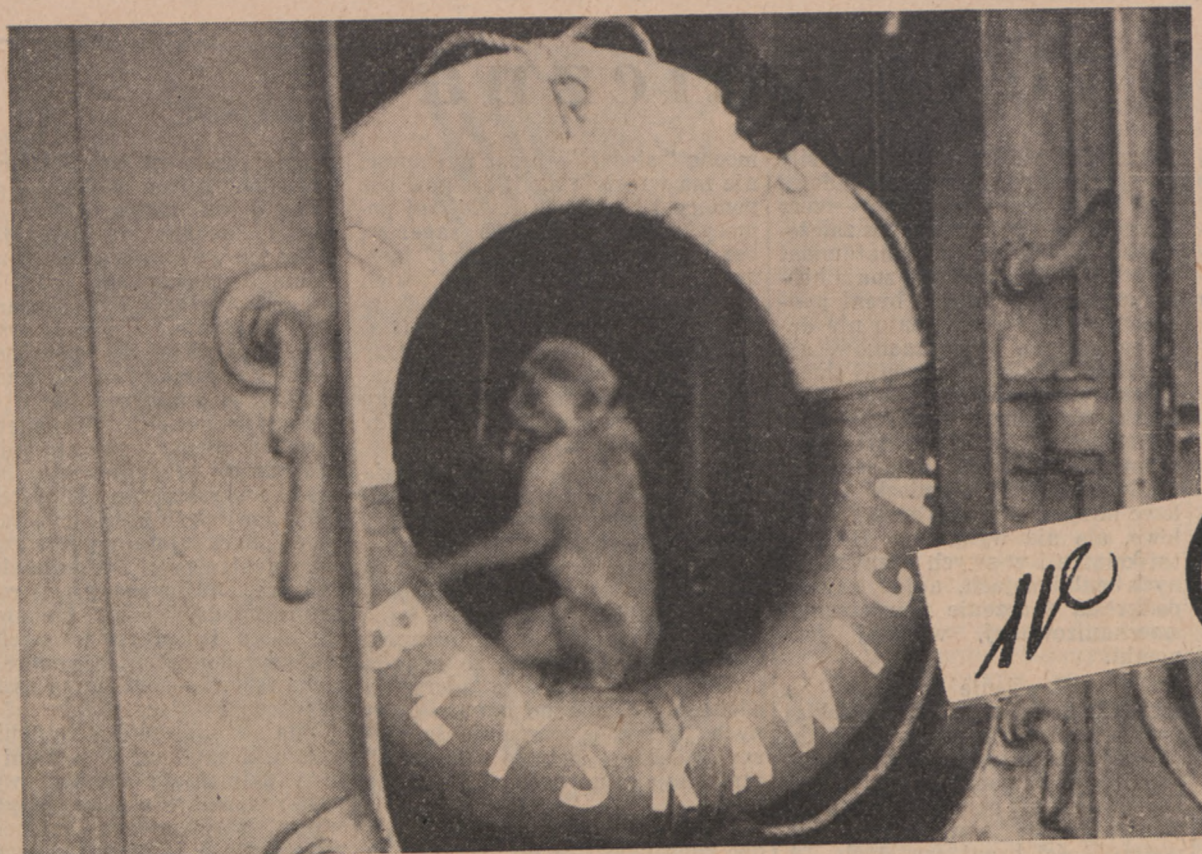
Z góry dziękujemy za oddanie nam tej przysługi i przesyłamy Szanownej Redakcji najserdeczniejsze koleżeńskie pozdrowienia.
Z Łudwika Bojczuk

Ponadto otrzymałmy na ten cel od p. Adama Ordegi nieprzyjęte honorarium za artykuły drukowane w "Polsce Walczącej" £3; od plut. pch. K.Z. "zamiast półsca na dancie" sh.6; od kpr. A.T. "z myślą o imieninach córceci Agnieszki, która jest w Polsce" sh.10; od ulana z "Czarnej Brygady" sh.5.

Łączna suma: £13 sh.11
Przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Cykl fotografii wyróżniony na konkursie fotograficznym "Polski Walczącej"

ulożył Stefan Osiecki



W czasie sztormu



Pewnego zimowego dnia—było to rok temu—kontrtorpedowiec "Błyskawica" podniósł kotwice w jednym z portów szkockich. Rozkaz Admiralicji brzmiał: " Eskortować konwój transoceanicznych statków handlowych do długości geogr. "X" i szerokości geogr. "Y", gdzie otrzyma dalsze rozkazy." Dowódcą grupy okrętów eskortujących został wyznaczony dowódca ang. okrętu patrolowego. Zadaniem każdej eskorty konwoju jest:

a/Ochrona konwoju przed atakami torpedowymi okrętów podwodnych.

b/Ochrona przed atakami z powietrza — przede wszystkim, bombowymi jak również torpedowymi.

c/Ochrona przed atakami korsarzy nawodnych, będących typowymi okrętami wojennymi lub też zamaskowanymi statkami handlowymi, które zostały specjalnie w tym celu przerobione na okręty bojowe czyli t.z. krążowniki pomocnicze.

Okręt wychodził z portu przy spokojnej pogodzie, gwiaździstym niebie, które rozświetlał woski sierp księżycy. Po wyjściu z portu, około północy, okręty eskortujące zajęły swoje pozycje i konwój poszedł nakazanymi kursami.

Pogoda pogarsza się raptownie. Wiatr wiejący z kierunku West o sile początkowej 5 mtr/sek podnosi się do 15 mtr/sek, przy czym barometr nadal gwałtownie spada.

Następnego dnia, godzina 11.00 otrzymujemy sygnał z prowadzącego patrolowca angielskiego: "Wracam do portu—proszę objąć dowództwo konwoju." Złożyło się więc tak, że dowódca "Błyskawicy" dowodzi eskortą składającą się z sojusznicznych okrętów wojennych.

O godzinie 16.00 wiatr przeszedł w sztorm o sile 8-10 według skali Beauforta/ do 25 mtr/sek/. Barometr spada w dalszym ciągu i około godziny 20.00 wynosi 731 mm/974 mb/. Następnie sztorm przechodzi w huragan: siła wiatru 11-12 wg. skali Beauforta (stopień "12" jest najwyższym wskaźnikiem tej skali) i równa się sile wiatru ponad 30 mtr/sek t.z. plus minus 115 km/godz.

Okręt rozpoczyna sztormowanie dziobem do fali. Fala wzrasta do wysokości 20 mtr przy długości ok. 100 mtr. (Typowa fala sztormowa na Atlantyku wynosi 15 mtr wysokości i ok. 250 mtr. długości). Wierzchołki fal wysokości pięciopiętrowych domów, unoszą się o kilka metrów ponad pomost bojowy.

Stan ten trwa przez całą noc i dzień następny.

W rezultacie oddaliśmy się ustawicznie od konwoju. Pomimo tak fatalnych warunków staraliśmy się nie stracić kontaktu z konwojem—w tym celu "Błyskawica" kilkakrotnie czyniła ze sztormowania, wraca i podchodzi blisko do konwoju i ponownie rozpoczyna sztormowanie.

Warunki widoczności spadły prawie do zera. Mnie jako laikowi wydawało się, że w tych nieprzeniknionych ciemnościach natknemy się na jakiś statek konwoju i po prostu przetrniemy go na pół. Utrzymanie łączności z konwojem staje się niewykonalne. Około godz. 07.00 trzeciego dnia drogi kontakt został stracony, na szczęście stało się to w momencie, gdy nasza asysta nie była już potrzebna.

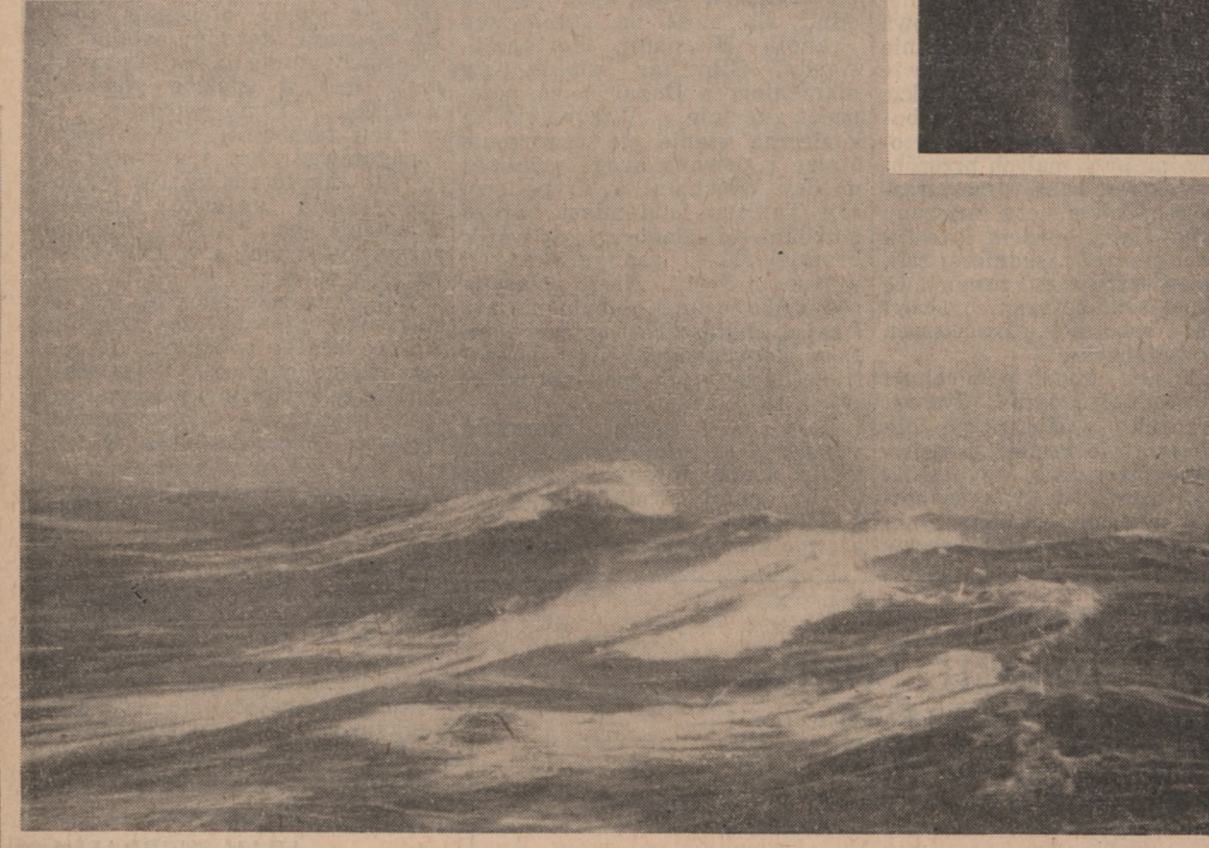
Noc poprzedzająca ten dzień, pomimo całej swojej grozy nieustannych szkwaliów, gradu, ustawicznego zalewania całego okrętu olbrzymimi falami, długotrwałych kompletnych ciemności obfitowała w imponujące i niesłychanie rzadkie zjawiska. Światła św. Elma kwitły na maszcie, olinowaniu, rejach i.t.p. O intensywności tych zjawisk świadczy wyjątkowy fakt, że w pewnej chwili całe moje prawe ramię i sudwestka (kaptur-nakrycie głowy w czasie deszczu) świeciły tym światłem. Byłem też świadkiem również niecodziennych zjawisk w postaci olbrzymich wyładowań elektrycznych /błyskawic/ uderzających w grzbiety olbrzymich fal, którym co dziwniejsze nie towarzyszyły grzmoty. Zjawiska te występowały co chwila i trwały kilka godzin.

Nastął dzień sztormowy. Jesteśmy sam na sam z Oceanem. Z resztą eskorty porozumiewamy się tylko od czasu do czasu za pomocą sygnalizacji świetlnej. Nie jesteśmy w stanie oczekiwać dalszych rozkazów na pełnym oceanie, musimy wracać—awaria steru. O godzinie 10.00 dokonujemy niebezpiecznego zwrotu, mamy już fale z rufy. Sztormujemy rufą. Rozwijamy szybkość 20 węzłów w obawie, że fala będzie zalewała nam rufę—a więc wyjść z huraganową falą, tak że w pełnych momentach idziemy z szybkością ok. 40 węzłów.

O godzinie 10.40 ster całkowicie odmawia posłuszeństwa i zaczyna się w położeniu "lewo na burt." Wskutek tego próba sterowania samymi maszynami nie daje wyniku. Jesteśmy skazani na



Sternik



Fala

łaske i nielaske huraganowych fal, które całą swą potęgą i z całą pasją wala na zmianę ze wszystkich stron w okręt kręcący się niebezpiecznie w kółko. Wre gorączkowa praca nad naprawieniem steru, co chwila nadchodzi meldunki o dodatkowych awariach—nie licząc zniszczeń w prywatnych rzeczach oraz pomieszczeniach załogi okrętu. Część marynarzy choruje na "morską chorobę."

A wreszcie punkt kulminacyjny—meldunek oficera mechanika. "Jeszcze jeden taki przechył a okręt się położy i więcej nie wstanie." Dowódca okrętu oświadcza lapidarnie: "Trudno, robimy co możemy". Połkad zalewa fala za falą, a nawet pozwalają sobie one przewalać się nad okrętem z jednej burty na drugą. Pozostaje pytanie co zwycięży: geniusz i technika człowieka, czy też wsieciła, bezmyślna masa żywiołu.

Okręt dygocze, jęczy, walczy, kładzie się na burtę, wspina na fale i z loskotem wali w dół /przechyły dochodzą do 60 stopni/. Nareszcie jaśniejszy promyk: "Ster naprawiony." Lecz po chwili okazuje się że... Fala zerwała łódź wraz ze szlupbelkami. Igraszka fal z bezwładnym okrętem trwa całą długą godzinę i jeszcze dłuższe czterdzieści minut /10.40-12.20/.

Nagle okręt jak dźgnięty ostrogą wspiął się, ożył i runął w nakazanym przez dowódcę kierunku. Mamy przed sobą jeszcze długie przebijanie się przez huragan, a poza sobą długą listę zniszczeń na okręcie. Na szczęście nikogo nie zmyło z pokładu, pomimo że kilku oficerów i marynarzy zalała fala i znaleźli się poza burtą trzymając się kurczowo relingu; tylko cudem uniknęli śmierci. Nie było mowy o tym, abyśmy mogli wyratować tego, kto by się rozstał z okrętem choćby na ułamek sekundy, fale wysokości kilkupiętrowych kamienic się impetu zbliżyły go przed jakąkolwiek możliwością ratunku.

Wskutek tego, że sztormowałyśmy ponad dobę, kreciliśmy się ponad półtorej godziny bez steru—dokładne miejsce jest nieznane. Astronomiczne określenie pozycji okrętu jest nie do przeprowadzenia, a to z braku słońca i z powodu zakrycia widnokręgu górami wodnymi. Goniometryczne określenie miejsca również niemożliwe, gdyż w czasie wojny brzegowe radiostacje goniometryczne nie działają.

Płyniemy w/g zliczenia nawigacyjnego i szczęśliwie pod wieczór ukazują się nam wyspy, do których podchodzimy. Ale teraz zaczyna się kłopot, gdyż trzeba zmienić kurs, który jest bardzo trudny do utrzymania tak ze względu na fale jak i na prowizorycznie naprawiony ster.

Po długich i ciężkich zmaganiach ukazuje się nam nareszcie zbawienne światło latarni morskiej a potem drugiej i trzeciej. Weszliśmy do cieśniny i zachodzi nowa obawa, że wskutek niepewnie działającego steru fala rozbije nas o skały.

Jednak o późnej nocy rzucamy kotwice przed portem. Udajemy się do kabin na zasłużony odpoczynek i tu nas czeka nowa niespodzianka—kabinę i inne pomieszczenia wyglądają jak po trzęsieniu ziemi, wszystko wywrócone do góry nogami, szkło zacięła podłogi, książki, ubrania, przybory toaletowe tworzą bezkształtną masę. Zapach wody kolońskiej zmieszany z zapachami kwasów siarkowych i solnych unosi się w powietrzu; wszystko zalane wodą. Zamiast odpoczynku sprzątanie. Nic też ze zmiany odzieży; musimy pozostać w mokrych rzeczach.

Udajemy się więc do mezy oficerskiej i tam widzimy na podłodze w przykładnej zgodzie, widelce z jamem, cukier z nożami, szczytki talerzy, szklankę wraz ze szczytkami sztormowego umocowania zastawy stołowej. Całość przywalona krzesłami, fotelami, serwetami, popielniczkami, książkami i t.d.—Tutaj też wypooczył się sposób.

Sygnalizacja

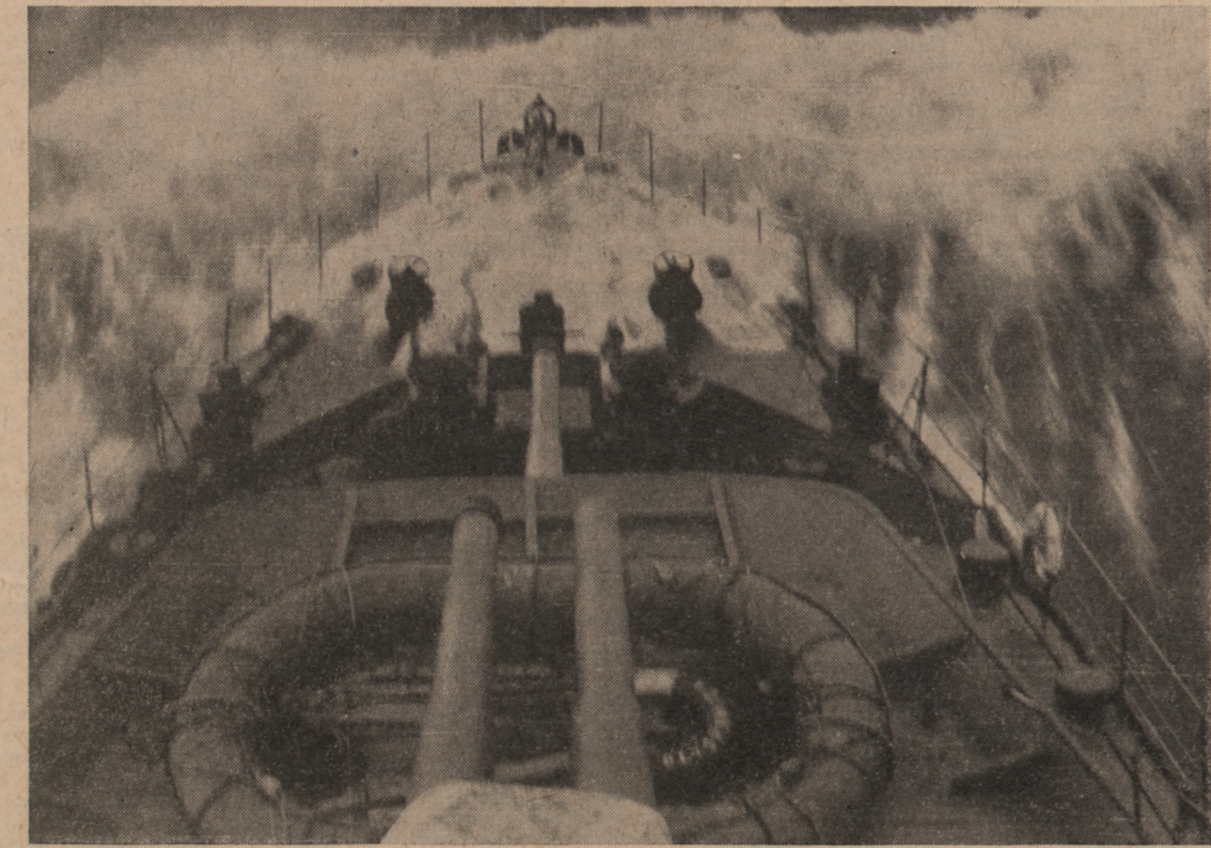


Błyskawica w porcie

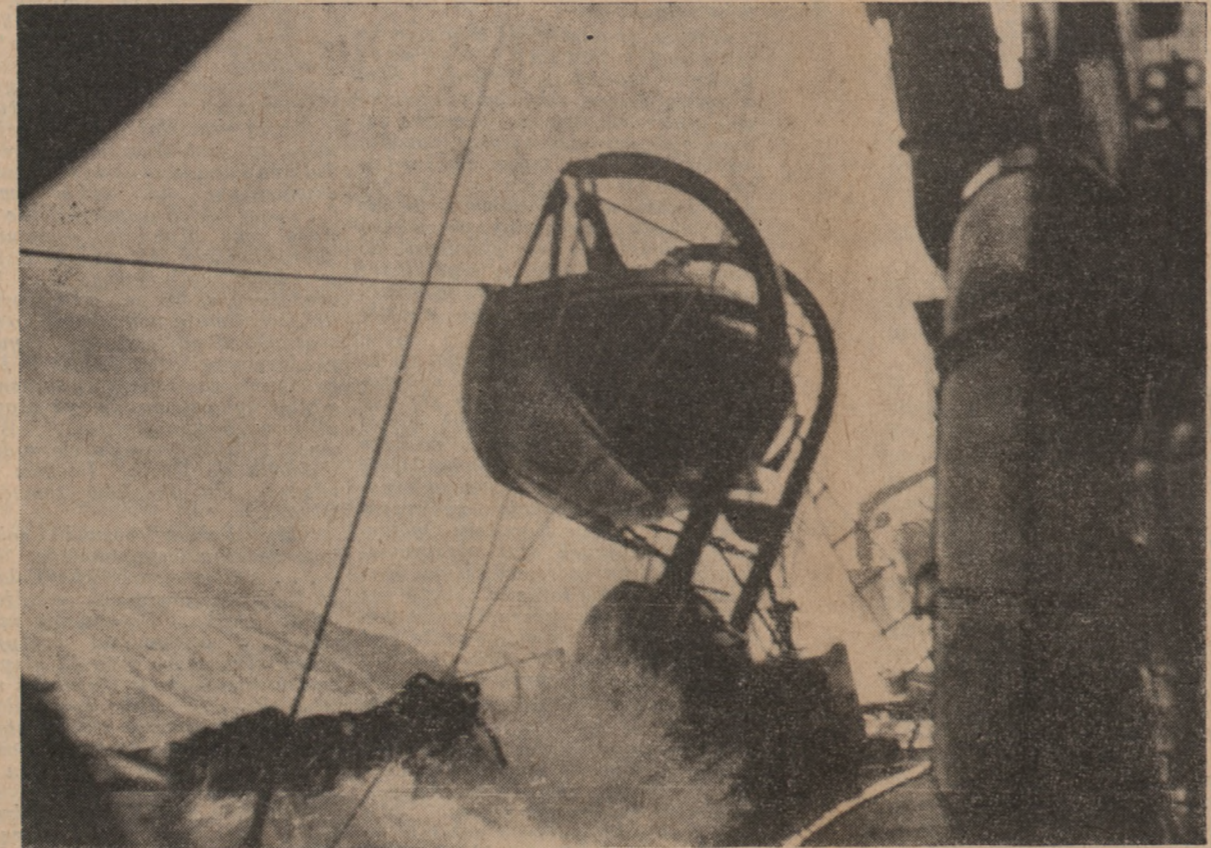
Jedzenie zniszczone—pozostało więc tylko wypić kieliszek alkoholu /ten się sztormowi nie poddał/ za pomyslane zakończenie mojej pierwszej tak niezwykłej podróży polskim okrętem wojennym. Wczesnym rankiem wchodzimy do portu co z zepsutym sternem nie było rzeczą łatwą. W cichoci ducha pragnęliśmy, aby okręty wojenne, statki, boje i mola ustępowały nam z drogi. Pomimo całego wysiłku i umiejętności o mało nie rozjechał się bok. "Kotwice rzuc"—i nareszcie oddychamy swobodnie. Dowiadujemy się, że siła huraganu była tak wielka, iż w samym

porcie sztormowy wiatr zerwał z kotwicy kilkadziesiąt statków a kilka z nich pompatycznie osiadło na mieliznie. Na innych mniej szczęśliwych okrętach pozmywało z pokładu oficerów, marynarzy; nikogo uratować się nie udało. Kilka statków poszło na dno. Ta część Atlantyku o tej porze roku słynie jako najniebezpieczniejsze miejsce na całym globie. Narazie zaczęła się praca nad rejestracją uszkodzeń i ich naprawą. Potem nastąpią nowe trudy.

fotografie i tekst WITOLDA BUCHOWSKIEGO



Fala zalewa dziób



Góra wody z prawej burty

Wojna na Dalekim Wschodzie toczy się obecnie pod znakiem desantów powietrznych. Ten rodzaj akcji, wprowadzony został przez Niemców do nowoczesnej taktyki ofensywnej. Użyto do tego nowej broni, jaką jest piechota powietrzna, inaczej uzbrojona i inaczej szkolona, niż zwykła piechota.

Niemcy zaczęli od małego: od jednej skromnej dywizji doświadczalnej. Nie doszła ona do głosu w Polsce, dopiero w Belgii i Holandii wykazała swą ogromną użyteczność, działając z zaskoczenia. Ofiarą desantów padły forty broniące Kanalu Alberta, ofiarą desantów padać zaczęły w miarę rozwoju operacji wojennych na rozmaitych frontach przesmyki i cieśniny, które dotychczas uchodziły za nie do zdobycia, nawet przez broń pancerną. Desanty zmieniły najzupełniej charakter wojny nowoczesnej, niwelując pojęcie frontu jeszcze bardziej skutecznie, niż głębokie zagony pancernych jednostek.

W warunkach w jakich przyszło walczyć Japonii, desanty rozwinęły wiele zagadnień, nader trudnych do rozwiązania, przede wszystkim zagadnienia nagłych i skutecznych ataków na wyspy, czy półwyspy. Lekcja niemiecka zrobiła swoje. W rezultacie wszystkie operacje japońskie, szczególnie te skierowane na tyły nieprzyjaciela, rozpoczynane są desantem z powietrza, wspartego w następnej fazie walki desantami z morza.

Wszystkim tym działaniom sprzyjał ogromnie fakt, że ilość lotnictwa myśliwskiego po stronie obrońców była minimalna, a więc i przeciwdziałanie znikome. Albowiem dotychczasowe doświadczenia ucza nas już nowej zasady: desant powietrzny musi być zwalczony w powietrzu, nim się stanie desantem. Wyniszczenie spadochroniarzy, czy piechoty powietrznej na ziemi jest bardzo trudne i wymaga zaangażowania niewspółmiernej ilości sił lądowych, doskonale uzbrojonych i zaopatrzonych w broń pancerną.

Możliwe, że w tej chwili na Morzu Śródziemnym przygotowuje się podobna operacja. Malta, brytyjska baza lotniczo-morska, zamykająca stosunkowo ciasny przesmyk morski między Sycylią a Cap Bon i Bizertą, jest bom-

bardowana bez przerwy od trzech tygodni. Przyczyny tego bombardowania mogą być trojaki: unieszkodliwienie bazy w czasie przerzucania posiłków dla Rommla, co wydaje się całkiem prawdopodobne, gdyż posiłki te pojawiły się już na terenie Syrty, wstępując tam do akcji w rejonie Agheila. Dalej: zdobycie Malty na stałe, a przez to odzyskanie kontroli nad komunikacjami Włochy-Tripolis. Wreszcie—zdobycie Malty, jako bazy do dalszych działań w Afryce północnej. Istnienie obu ostatnich możliwości poparte jest realnymi argumentami w postaci silnych koncentracji lotnictwa i piechoty powietrznej na Sycylii.

Czy Niemcy posiadają w tej chwili dostateczne ilości wyszkolonych wojsk powietrznych? Czy nie wytracili ich w kolejnych kampaniach belgijskiej, holenderskiej, jugosłowiańskiej, potem greckiej, wreszcie w czasie operacji na Krecie, przeprowadzonej jedynie i tylko wojskami powietrznymi? Wiadomo wszystkim, że w czasie takich operacji samoloty syją się z nieba jak gruszki, a straty w ludziach są ogromne.

Takie pytania stawiają często ci, którzy zastanawiają się nad tymi operacjami Hitlera, które mógłby przeprowadzić wyłącznie wojskami desantowymi. Są to: po pierwsze atak na wyspę Malte, czy po drugie—coś znacznie większego—atam na Wyspy Brytyjskie. Odpowiedź nie jest prosta: wszystkie operacje, które dotychczas Niemcy swoją piechotą powietrzną przeprowadzili, z wyłączeniem jednej Krety, nie były na naprawdę wielką skalę. W Belgii i Holandii działali Niemcy niepełną dywizją spadochronową. W niewielu bowiem wypadkach chodziło

o walkę, jak to miało miejsce przy zajmowaniu fortów Liège. Przeważną część działań z powietrza miała charakter działań dywersyjnych. Siły użyte na przesmyku Korynckim, czy na Perekopie nie przynosiły także 1 dywizji. Na Krecie zaangażowano właściwie dwie, a najwyżej trzy dywizje powietrzne.

Hitler przed atakiem na Kretę posiadał 6 dywizji wyszkolonej piechoty powietrznej i około 2000 maszyn transportowych. Ogólne straty transportowców w czasie wszystkich kampanii, łącznie z libijską nie przyniosły 1000 maszyn. Ogólnie straty w ludziach nie przyniosły 2 pełnych dywizji, a więc w sprzeczności 50% zaś w ludziach 33%.

Jeżeli o sprzęt chodzi: uzupełnienie sprzętu w postaci transportowców czy szybowców transportowych holowanych za samolotami motorowymi, jest niewspółmiernie łatwiejsze, niż uzupełnienie maszyn bojowych. Budowa tych maszyn jest znacznie prostsza, uzbrojenie prawie żadne, nie mają one także całej złożonej aparatury bombowej. Zresztą do celów transportowych można przy małych przeróbkach zastosować każdy przestarzały typ bombowca, czy maszyny komunikacyjnej, bowiem kwestia szybkości nie gra zasadniczej roli. Natomiast szybowce transportowe można budować setkami, byle był materiał i robotnicy. Lada szopa starczy za fabrykę.

Jeżeli zaś chodzi o piechotę powietrzną, to liczba dywizji powietrznych Hitlera nie pomniejszyła się wcale; przeciwnie—zwiększyła się wydatnie. Mówi się nawet o 11 wyszkolonych dywizjach powietrznych. Z takiego nagromadzenia rezerw

piechoty powietrznej rzeczywiście wnioskować można, że Hitler uważał dotychczasowe działania z powietrza łącznie z Kretą, za próby generalne czegoś znacznie większego. Cóż by to być mogło? W tej chwili mogą być dwa cele: albo Malta, albo—Wyspy Brytyjskie. Cypr czy Persja stały się nieaktualne, atak na Kaukaz może być aktualny dopiero późną wiosną.

Rozważając sprawę z punktu widzenia czasu, to uszeregować można cele ewentualnych powietrznych ofensyw Hitlera w następującym porządku: cel zimowy—Malta, cel wiosenny—Wyspy Brytyjskie, cel letni—Kaukaz. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie...

Poprzemy to następującym rozumowaniem: jeżeli ofensywa brytyjska nie zostanie powstrzymana przez Rommla i poczyni dalsze postępy w kierunku Trypolitanii, w wynikach swych odbić się może na stanowisku Francji, Hiszpanii, Portugalii. Wtedy Gibraltar stanie się marzeniem a Dakar może przepaść zupełnie. Wtedy rzecz konieczną stanie się otworzenie stałej i pewnej drogi morskiej między Włochami a Trypolisem czy Tuniszem, natomiast bardzo pożądaną—działanie na tyły wojsk brytyjskich zaangażowanych w rejonie Syrty. Na to potrzeba nie tylko osłepić bombami, ale i zająć Malte. To tłumaczy nam fakt koncentracji floty powietrznej i dywizji spadochroniarzy na Sycylii.

Lecz by wojnę naprawdę zakończyć od razu i zwycięsko—trzeba zająć Wyspy Brytyjskie. Gdyby moral armii niemieckiej groził załamaniem, gdyby naprawdę groziły poważne zamieszki

wewnętrzne, gdyby w rzeczywistości niemiecki plan wojenny rozpadł się w tak gwałtowny sposób, że dłuższa wojna byłaby nie do pomyslenia, Hitler stanie wobec konieczności jakiegoś takiego pociągnięcia, któreby nie tylko ratowało jego prestiż, ale i zatłoczyło z miejsca wojnę.

Takim jedynym wyjściem jest uderzenie na Wyspy Brytyjskie. Dlatego z tym uderzeniem należy się poważnie liczyć, a czas niebezpieczny oznaczyć z początkiem marca tego roku. Ponieważ, rozpoczynając tę operację, Hitler nie będzie miał więcej nic do stracenia, użyte do tego celu zostaną wszystkie siły powietrzne wszystkich rodzajów. Trzeba się liczyć również z wprowadzeniem nowej broni: gazów bojowych, przyczem będą do tego specjalne samoloty opryskujące teren.

Dlaczego właśnie marzec? Hitler wie, że ofensywa letnia na Rosję doprowadzi naród niemiecki do ostatecznego osłabienia, nawet gdyby się trzymał względnie dobrze. Ofensywa 1942 musi zwyciężyć lotnictwo w podobnej mierze, jak je zjadła ofensywa 1941. Przeciąganie terminu ataku na Wielką Brytanię na maj, czerwiec, musi dać w efekcie ofensywę rosyjską. Tym bardziej, że w akcji zachodniej trzeba będzie zaangażować choć nie wszystkie siły, to całe lotnictwo. Na wschodzie można zostawić niewiele. Uderzenie na Wielką Brytanię zaryzykować można w 1941 tylko wcześniej wiosną.

Należy zawsze mieć na oku tę oczywistą prawdę, że gangster dlatego zabija policjanta, iż nie ma innego wyjścia. Wszystkie wielkie cele wojenne, plany operacyjne, rozsądne rozwiązania, logiczne obliczenia biorą w łeb, gdy się nie ma czasu na ich wykonanie. W takiej sytuacji może znaleźć się Hitler i w tej sytuacji będzie chciał zabić policjanta—Wielką Brytanię.

Można sobie wyobrazić, że podobnie jak ongiś Foch miał nad swym biurkiem w czasie Wielkiej Wojny tabelę zmniejszających się rezerw niemieckich, tak Hitler ma tabelę zwiększającej się produkcji lotniczej państw sprzymierzonych. Są to cyfry bardzo wymowne. Na to i zwycięstwa Japończyków nie wiele pomogą.

ADAM STERBAŁA

Nowości lotnicze

Ukazało się wydawnictwo:
FREDERICK CHOPIN

SEVENTEEN POLISH SONGS

in their original keys with English and Polish words.

Preface and English version by JAN ŚLIWIŃSKI.

Cena: 5 szylingów.

Paterson's Publications, Ltd., London: 36-40, Wigmore Street, W.1—Edinburgh: 27, George Street.

Bez black-outu

Byłem niedawno w Londynie. Do tej pory nie mogę ochłonąć. Żyjąc na dalekiej prowincji szkockiej nie zdawałem sobie sprawy, że my to taka potęga. Owszem szanują nas w Szkocji, lubią więcej lub mniej, dostajemy co raz to lepszy sprzęt, mamy wiele pochwał od brytyjskich władz wojskowych za doskonałe wyniki ćwiczeń, nasze pancerniaki mają uznanie, nasi saperzy są stawiani za wzór, nasza "przeciułotnicza" bije tutejsze rekordy, jak chce, nie mówiąc już o stawie lotniczej i marynarskiej—nie jest tak źle, ale nie wiedziałem, że jest aż... tak dobrze.

Nie przypuszczając, że Polacy potrafią zmienić zamgloną, dostojną stolicę Anglii w miasto nerwów, zgola nie-angielskich. Potęga, szkoda gadać. Resztki Anglików tułaja się chylkiem pod murami Albionu, a my, tylko my nadajemy ton: organizujemy, dyskutujemy, przepychamy się... Kto chce z nami żyć, czy ewentualnie pracować, musi się nauczyć po polsku, bo nasza angielszczyzna po dwuletnim blisko, przymusowym "kursie" przypomina, niestety, jeszcze ciągle wymowę Indianina ze szczerpu "Twardy Język".

Nie dziwnego, że w tych warunkach poczciwe, niebieskie angielskie windziarki, nauczyły się w Strattonie stylowego powitania dokumentacyjnego: "Jak się masz malutki?" W Regent Hotelu z trudem rozmówisz się po angielsku, bo Londyńczycy wolą swoją kieszonką polszczyznę od naszej najlepszej angielszczyzny. Więc portier mówi: "nieodobra pogoda," a szatni: "proszę numerek." W kawiarni Yarnera Polacy wyparli Anglików z dużymi stratami i siedzą, jak w dawnej Ziemiańskiej, zadymieni, zacietrzewieni, odstawiając "pół-czarne" plotki przy kawie. Tłum pracowników londyńskich: kasjerki, konduktorów, kelnerów tamie sobie język ojczysty, kalecząc równocześnie nasz—po prostu dla chleba. Dla chleba, panie, dla chleba, bo zjechali wplywowi Alianci i przerobili Londyn na swoje kopyto. Więc, kto pójdzie z prądem będzie żył, kto nie, ten przepadnie.

Biedne Angliki rozglądają się

podobno po wyspie za nową stolicą. Może dla siebie... może dla nas. Silny element jesteśmy i... głośny, bardzo głośny. W "undergroundzie," w autobusie, w restauracjach, w prasie, w broszurkach głośni—za głośni! Nasz ton, nasz rozmach sarmacki epoki saskiej razi na tej anglo-saskiej kępie. Nic dziwnego, że jaki taki Albinos błędnie zaciskając zęby, bo albo tego "fasonu" do tej pory nie widział, albo widział, ale znieść nie może.

"Polak ciągle się śpieszy i Polak ciągle się spóźnia"—oto lapidarna charakterystyka wygłoszona przez moją londyńską gospodynię pensjonatową, która traciła głowę na sam widok Polaków /nie w znaczeniu miłosnym/. Przeprowadziłem dokładną obserwację tej skąd inąd energicznej niewiasty. Na widok polskich gości osoba ta wyciskała ze swego uśmiechu maksimum uprzejmości, ale równocześnie opierała się silnie o biurko, poczem z godnym podziwu spokojem odpowiadała na każde pytanie aż do szczegółowego wywiadu na temat: myszy, robaczków i innych insektów, przewidywanych przez ostrożnego rodaka. Tylko przy wzmiance o myszach była lekko zaróżowiona, przy dalszych bladła, ale odpowiadała. Wieczorem, gdy zmęczona po całodziennym pracy siedziała w kantorze, powiedziała do mnie złamanym głosem:

"Bardzo lubię Polaków. Dziwny, miły naród. Choć tyle mam z nimi kłopotu, nie potrafiej odmówić wynajęcia pokoju. Ale też od tego momentu zaczyna się stale moja tragedia: Polak wraca późno do domu i tak długo, tak głośno się myje, tak operuje kranami umywalni, że budzi wszystkich gości mego pensjonatu. Czasem przyjdzie mi ochota na śpiwanie lub gwizdanie. To jest "lovely"—tylko nie o drugiej po północy. Polak rzadko kiedy schodzi punktualnie na śniadanie. W moim pensjonacie toczą się teraz nieprzerwane ranne walki z pańskimi rodakami o "break-

fast." Nawet w okresie "blitzów" pora śniadania u nas była niezmienną od 8—9.15. Dopiero Polacy dokonali przewrotu. Jeden schodzi o 10, drugi o 10.30, trafia się czasem gość w pyjanie i szlafroku, co pewną starszą lady przyprowadziło o palpitację serca. Wyłożyłam specjalną kartę z prośbą o wpisywanie, kto reflektuje na "lunch" w moim pensjonacie w danym dniu. Nie było u mnie od 25 lat wypadku, żeby ktoś zapisawszy, że będzie, nie przyszedł na obiad. Teraz jest sytuacja odwrotna: nie było wypadku, żeby ktoś z polskich gości przyszedł, zapisawszy uprzednio, że będzie, lub żeby przynajmniej zapowiedział telefonicznie, że być nie może."

Stuchalem pilnie i reagowałem tak, jak ona przy wywiadzie na temat insektów, to znaczy byłem różowy, a potem zbladłem. W rezultacie nie potrzebuję Was zapewnić, Drodzy Czytelnicy, że z góry odwołałem wszystkie breakfasty i "lunche" na przeciąg trzech dni, na wszelki wypadek, żeby nie zaspac lub... nie zapomnieć. Nocą wracałem cicho jak mysz, której nie było.

Nie wiem, czy sprawie polskiej pomogłem, czy opinii na odcinku tego pensjonatu trochę podreperowałem, ale na wszelki wypadek przez 3 dni się nie myłem, żeby zmniejszyć polski hałas w spokojnym angielskim domu. Tutalem się więc po Londynie cały dzień i bauilem się w "cenzurowane": po prostu "zbierałem złe i dobre śmiecie." Jedna osoba, napotkana przypadkowo "somewhere in London" powiedziała mi*:

"Panie B. Pan wniósł kilka dni temu zgłoszenie do Związku Polaków z Niższym Niedokształceniem...?"

"Owszem wniosłem. Bardzo się cieszę, że taka instytucja powstała. To bardzo pożyteczne. Uważam, że my..."

*Wypadek autentyczny. Jedynie nazwy instytucji i nazwiska są fikcyjne.

"Mądrze pan zrobił..."—przerwała mi osoba—"bo trzeba panu wiedzieć że zaczynamy... walkę!"

"Walkę? Z Niemcami oczywiście? Aha, rozumiem. O kulturę polską, o naukę. Czy tak?"

"Ale skąd. Rozpoczynamy walkę z "Kolem"..."

"Jak to? Z jakim Kolem?"

"Z Kolem Polaków z Niższym Niedokształceniem."

"Więc... oprócz "Związku" jest także "Kolo"?"

"Pan nie wiedział?"

"Myślałem, że Związek i Kolo to jedno..."

"Ale skąd, panie, tam są ludzie... rozumie pan... Wystarczy, jeśli powiem panu jedno nazwisko: "Kolo"—to doktor Pyskaczyk!"

"Doktor Pyskaczyk? Nie znam, człowieku, nie znam!"—Zaczęłam się poważnie denerwować, czułam, że po prostu przez normalne zgłoszenie, na skutek wezwania ogłoszonego w prasie, upadłem w jakąś kabałę. Ot po prostu głupi "prajwet" ze Szkocji, nieobeznany z manierami londyńskimi! Byłem zły na siebie, lecz zaciekawienie zwyciężyło.

"Pan nie zna Pyskaczka? Niech się Pan nawet nie przyznaje"—ciągnęła osoba związkowa z niższym niedokształceniem.

"Trudno, zabij mnie Pan, nie znam. A kto prowadzi Związek?"

"Jako kto? Skąd Pan spadł?"

"Z Perth..."

"To widać. Na czele "Związku" stoi nasz człowiek... Prezes Motalski!"

"Motalski? Nie znam."

"Pozna Pan. Już Pana wciągnęliśmy na listę. Dostanie Pan legitymację. Zaczniemy walkę i Pyskaczka skończymy w trzech dniach..."

"Przepraszam Pana... i "Kolo" też skończymy?"

"Samo przez się; Kolo upadnie z Pyskaczkiem!"

"Aha... i w tym celu... powstał "Związek"?"

"—Tak jest. Element walki jest konieczny. Związek zdusi Kolo—zdemaskujemy ich robotę. Prezes Motalski szykuje broszurę w formie listu otwartego i zamkniętego do Pyskaczka, chcemy, żeby Pan pomógł przy redagowaniu..."

Nogi się pode mną ugięły. W głowie mi zahuczało. Na wszelki wypadek ogłądałem się za siebie... Czuję 14 dni ścisłego, potem zobaczyłem siebie na jakiejś odludnej wysepce, grającego w domino z leśnym dziadkiem, potem znowu jakieś kraty... może to była Szkocja, a może to była "paka."

Gdy się ocknąłem osoby już nie było. W ręce trzymałem zamknięty bilet wizytowy:

"Dr. Kalumnia-Zadziorkiewicz Esq. sekretarz Generalny Związku Polaków z niższym niedokształceniem—London, W.C.1. Telefon: P.I.C. 100-00."

Zawirowało mi w oczach, w głowie miałem szum... Związek? Walka? Motalski? P.I.C.? Pyskaczyk? W.C.? Kolo?

Tak jest: Zaczarowane Kolo...

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S. Niniejszym kwituje wszystkie listy i dziękuję za wyrazy "współczucia," nadesłane pod moim adresem w związku z anonimem Barbary L. Nie mogę się powstrzymać od cytowania fragmentów dwóch listów:

St.S. z Londynu: "Od siebie i z upoważnienia brata mego lotnika, walczącego o wolność i prawości Ojczyzny proszę pana, by nie przynosił się Pan do Gestapo. Niszczcie nasze wady, po powrocie do kraju, będzie gruba spóźniona. Bo to najlepiej, żeby taka pani zabrała się do cerowania skarpet żołnierzom, którzy walczą między innymi i o to, by taka pani zrozumiała, iż naprawić trzeba się tu, na obcym terenie, póki czas."

J.T. ze Szkocji /żołnierz/: "Istotnie nie byłeś za granicą i nie wiedziałeś, że jest wolność myśli, słowa i pióra i dlatego chodzisz z otwartymi ustami i dziwisz się. Ale głowa do góry, bij dalek i mocno i nie przejmuj się. Zresztą znasz to powiedzonko: "głos słychać a osoby nie widać."—Pisz dalej. Jesteśmy z tobą na sto pięćdziesiąt procent."

Z życia obozów

Codzienna twarz Nieznanego Żołnierza

Sejsmografy dziejów drgają nieregularnie, notując krzywą wartości narodów i poszczególnych ludzi. Historia odczyta kiedyś te wykresy, posegreguje, odróżni, nazwie. Moje zadanie nie sięga tych trudnych spraw. Na moim powszednim posterunku szpitalnym, przez który przepływa tylu ludzi odpancerzonych cierpieniem, szukam twarzy Nieznanego Żołnierza.

Dobrze znamy tę twarz z pomników granitowych i własnych naszych wyobrażeń. Twarz skupioną, z oczami twardo hardymi, z zaciśniętymi w bładą linijkę postanowieniami ustami, z czołem nabrzmiałym od wysiłku ponad siły. Dobrze znamy tę twarz, ale ją szukam innej, tej "na co dzień." Odnajduję ją czasem, za każdym razem inną, bliższą, łatwiejszą. I jakże prostą w swej ofercie, jak nieśmiałą. Twarz, której tajemnicę znała tylko matka, i którą mogłam dojrzeć tylko dlatego, że matka jest daleko, a ja pochylona nad łóżkiem szpitalnym mam w gorączce widzeń te same oczy i ręce.

Często, bardzo często mam uczucie, że kradnę jakimś dalekim kobietom te chwile skarg i łez dziecińczych. Przechowuję je z pietyzmem, i może kiedyś je wypowiem i zwrócę im te słowa i spojrzenia.

Ta mała gromadka ludzi na korytarzu szpitalnym, przypomina raczej groteskę lub film. Siostra, sanitariusz, popychający przed sobą nosze na wózku i na noszach... chory grający na harmonii "Ramone", wszyscy uśmiechnięci, rozbawieni prawie.

Dokąd idą? do parku na spacer? Nie. Do sali operacyjnej. Na ciężką, drugą z rzędu operację. Zaraz zamkną się za nimi drzwi. Zaraz wejść do innego świata, białego, cichego, obco pachnącego, gdzie serca i twarze okryją sterylizowane maski i z dawnego świata pozostaną tylko oczy i ręce. Oczy uważne, skupione i ręce nie-

zawodne, wyczulone jak macki. Chory zna dobrze ten biały świat bólu i jedzie tam z piosenką. Długo czekałam na koniec zabiegu. Wreszcie doktor wyszedł. —"Cóż, ciężko było, ropa, zniszczone tkanki miękkie i kostne na dużej przestrzeni. Trzeba było wyjąć kość stawu skokowego."

Pokazuje mi kostkę wielkości pudełka od zapalek. Idziemy na salę, pewnie się jeszcze nie zbudził z narkozy. Zdaleka zobaczyłam zamknięte oczy. Nagle, szybki zwrot głowy i ramiona zamachały w naszą stronę.

—"Leż spokojnie, człowieku, nie wolno ci się ruszać."

Zbliżyłam się szybko. Puls, wszystko dobrze, boli, bo musi, bo ma prawo boleć.

—"Panie Doktorze... czy będę chodził?... czy napewno będę chodził?"—I oczy, oczy niby spokojne, a z tak ogromnym lękiem przyczajonym na dnie, że niespodzianie wzruszenie chwytła mnie za gardło.

—"Bo ja przecież muszę wrócić, Panie Doktorze..."

W czas jakiś powiedział do mnie. "Będę miał krótszą nogę o 2 cm... Ale za to druga będzie dłuższa"—uśmiechnął się.

Podporucznik P. lotnik-pilot opowiada na sali ciężko chorych wrażenia z lotów. Jest mocno porahatany i nie mniej zakłopotany.

—"Czy strzelają do nas? naturalnie. To nawet bardzo ładnie wygląda, jak taka różnokolorowa ściana ognia odrywa się od ziemi i pędzi do góry..."

Prosimy, żeby opowiedział o którymś ze swoich lotów.

—"Któregoś dnia lecimy na zadanie. Jesteśmy nad stanowiskami nieprzyjacielskiej artylerii, już powinni strzelać... czekamy w napięciu... nie... Nagle, bez mego udziału, samolot zaczyna nabierać wysokości... Jest w tym samodzielnym ruchu coś niesamowitego... Następny ułamek sekundy daje odpowiedź

i odprężenie... To pocisk rozerwał się pod nami. Zaczynamy spadać... stery nie działają... lecimy w dół około trzech tysięcy stóp... znowu próbuję stery... nie działają... powinienem rozładować samolot z bomb... ale czekam jeszcze... Po chwili czy po wiekach—stery chwytają. Robię skręt na kurs bojowy i w tej chwili... tuż nad głową seria C.K.M... Myśliwiec... czatował bestia... mało brakowało... trochę tego szczęścia było..."

Tak. "trochę tego szczęścia było..." "Dwadzieścia parę lotów nad Niemcami, "Virtuti Militari," "Krzyż Walecznych," awans z podoficera na podporucznika, poparzona i połamana ręka i noga, twarz w bliznach i szwach..."

A dziś... mundur razem z "Krzyżem Virtuti" złożony starannie w szafie szpitalnej, szlafrok, kule, bijące wzruszeniem serca chorych kolegów, tęsknota za skrzydłami, daj Boże niedługa, i... trochę tego szczęścia na przyszłe loty.

Chorzy dużo czytają i chętnie dyskutują o książkach i artykułach. Któregoś wieczoru ktoś wspominał "śmierć podch. Plużan-skiego." Zaczęto fachowo rozpatrywać sytuację bojową, możliwości i t.d. Padło słowo "bohaterstwo..."

"Obciąż" mnie podhalanin, chłopak smutny i rozgoryczony z powodu narwicznej rany, która pozostawiła go kaleką. —"Proszę pani, to są bzdury to bohaterstwo i ofiarność"—powiedział szorstko.—"Chłopak wylazł na tę skałę, bo stamtąd było mu wygodnie strzelać. Każdy zrobiłby to samo na jego miejscu. To nie żadne bohaterstwo ani łaska. To był jego psi obowiązek. Jedyną jego zasługą to, że tę skałę wy-patrzył i wykorzystał."

Oto punkt widzenia. Psi obowiązek i kwita...

Pewnej nocy wstrząsnęły mną ludzkie oczy.

Wieczorem objęłam dyżur nocny. Siostra dzienna między innymi wskazaniami lekarza, które należy wykonać w ciągu nocy poleciła mi nowego pacjenta: —"Ranny od bomby niemieckiej, wstrząs mózgu, ma leżeć nieruchomo, podawać pić bez podnoszenia chorego, kontrolować puls, zmieniać лёд w woreczku na głowie jak najczęściej."

Takie słowa są święte. Zmieniałam więc лёд, starając się robić to jak najdelikatniej, ale chory budził się za każdym razem i patrzył na mnie tak bezbrzeżnie zdumionymi oczami, że czasem zdawało mi się, że jest nieprzytomny.

Całą noc myślałam o tych jego oczach szeroko otwartych i tak niebieskich, jak tylko u nas w łowickim miśwają lnianowłose, wiejskie dzieci.

Całą noc myślałam, jak bardzo daleko musiał odbiec od domu i od opieki matczynej, że kobiece ręce, troszczące się o jego biedną, potłuczoną głowinę wywołały tak ogromne zdumienie...

Na sali N.50 leży młody, miły chłopak. Moje zainteresowanie nim datuje się od chwili, gdy go przywieziono. Wsiadł z "sanitarki," rozejrzął się i splunął najautentyczniej po warszawsku.

W Izbie Przyjętych chorych służbowy notuje jego personalia.

"Imię"... "nazwisko"... "stopień"... "przydział"...

"miejsce zamieszkania w Polsce?"

—"Warszawa."

—"Bliższy adres?"

—"Tamka."

—"Jaki numer?"

—"No to niech będzie Solec."

—"Ale jaki numer?"

—"Pisz pan Czerniakowska 56."

Ale tego domu już nie ma. Jak piźgnęło, to ledwie się się wygrzebali. Aleśmy też dobrze grzali do nich."

Na sali opatrunkowej między nim i doktorem nawiązał się następujący dialog.

—"Trzeba natychmiast operować pod narkozą."

—"Tylko żadne takie, panie doktorze, bez żadnej narkozy, nie lubię smrodu."

—"Ale będzie bolało, nie wytrzymasz."

—"Wytrzymam."

—"Słowo?"

—"Warszawskie słowo honoru."

Raz tylko zgrzytnął zębami przy zakładaniu szczyków w głęb rany, ale ani drgnął. Wytrzymał, bo warszawskie.

—"Rozkleiłem się jak dziecko"—powiedział do mnie kapral Tadeusz J. po ósmej, od chwili otrzymania postrzału pod Ankenes, operacji. Dygotał cały z bólu i zaciągał się papierosem, a lzy leciały mu po twarzy i wsiąkały w poduszkę.

Przebiegłam myślą ostatnie dwa lata jego 26-letniego życia. Kampania wrześniowa, Węgry, Francja, Narwik, kota 275, ciężki postrzał... Do leżącego już, z odległości 15 metrów, strzela Niemiec raz jeszcze...

—"Powinien był trafić"—powiedział kiedyś Tadeusz.

Po paru godzinach odnaleźli go koledzy, lecz dnia tego miał wyraźnego "pecha": W drodze do szpitala ostrzelał ich samolot niemiecki.

Pierwszą operację przeżył w Tarstard. Drugą—po 3 dniach—w Harstadt. Dwie następne na statku, w drodze do Liverpool, i trzy w Manchester. W kwietniu był operowany u nas po raz ósmy.

Kula dum-dum... zostawia trwałe ślady... Wczoraj po 6-miesięcznej kuracji powrócił do szpitala raz jeszcze na... dziesiątą operację...

Wieczorem usiadłam przy jego łóżku na małą pogawędkę. Tadeusz odłożył książkę i uśmiechnął się do mnie serdecznie i ciepło.

"Skąd bierzesz tę pogodę Tadeusz?"—pomyślałam...

JANINA WOYCIECHOWSKA

Sztandar lotników

Baza operacyjna Polskiego Skrzydła

Duża przestrzeń lotniska pokryta śniegiem. W powietrzu szara, jakaś trochę brudna mgła. Zmęczony ciasnotą miejskich ulic wzrok, szuka przed sobą jakiegoś punktu oparcia lub zaczepienia. Ale trudno go znaleźć, bo horyzont ginie we mgłę. Nieopodal nas stoi Hurricane, następny to już tylko sylwetka, jakaś ciemna plama, a dalej... nic.

Lotów właściwie nie ma. Co prawda rano poszły dwie maszyny w powietrze, ale po niedługim czasie musiały z trudem lądować. Nie można latać. Na ziemi i nad ziemią zupełny spokój.

Stoimy przed gmachem dowództwa Skrzydła i z przyjemnością patrzymy na takie ilości śniegu. Wzrok nasz chciwie spija białość tej wielkiej przestrzeni. Z pamięci minionych zdarzeń i widzianych obrazów powraca właśnie taki, na jaki patrzymy w tej chwili. Obraz zimny i cichy, jak znamy i pamiętamy z Polski. Pola śniegiem pokryte...

Wspomnienia te przychodzą w chwili, gdy dowódca Skrzydła podaje komendę: "bacność—na prawo patrz!"

Szeregi dywizjonów zamierają w bezruchu, oficerowie salutują, pluton sztandarowy prezentuje broń. Z gmachu dowództwa poczet wyprowadza sztandar Polskich Sił Powietrznych. Zupełna cisza.

Przez tyle lat przyzwyczaiłem się do tego, że w takiej chwili zawsze grają trębaczki: "Hasło Wojska Polskiego," potem blysk szabel ułańskich przed szeregami szwadronów, melodia Hymnu Narodowego, a w końcu—fanfary wzniesione ku górze i silnie i potężnie brzmiący marsz pułkowy.

Tu tego wszystkiego nie ma. Cisza i skupienie... Wzrok utkwiony w symbol żołnierski, wykonany w dalekiej Polsce, gdzie dzisiaj taki sam śnieg okrywa pola krwią przepojone.

Maszerując miarowo i spokojnie poczet podchodzi do czoła i staje w szeregu. Dywizjon 303 przejmie sztandar.

Przywieziono go tu z dywizjonu bombowego. Był tam świadkiem dalekich dziennych i nocnych wypraw bombowych, słuchał huku potężnych motorów i cichych, nieraz szepem wymawianych życzeń przy odlocie. A nad ranem, liczył powracające maszyny. Żył z dywizjonem.

Teraz, Hurricane i Spitfiry będą mu grały melodie zwycięstwa. Będzie oglądał biegnące w pośpiechu do maszyn sylwetki pilotów. Szybkie starty i znikające punkty na horyzoncie. Klucz... dywizjon... skrzydło... A potem znowu tak jak tam. Oczekiwanie na powrót. Całe życie tutaj to szybkość i walka. Decydują ułamki sekund i metrów. Nerwy napięte jak struny i błyskawiczne reakcje oka i ręki. Ani jedno ani drugie nie może zawieść. W tych codziennych walkach, siła i moc płynąca ze sztandaru, będzie ich siła i mocą. A dalsza sława, którą się okryją, opromieni jeszcze bardziej ten sztandar.

Patrząc po szeregach dywizjonów. Od czasu gdy byłem tu kilka tygodni temu, widać zmiany.

Brak wielu, którzy wtedy byli obecni. Niektórzy już nie powrócą—może nigdy. Za swoją sławę płacą uczciwą cenę.

Ale to nie o sławę tu chodzi. W dniu dzisiejszym Dywizjon przejął pod swoją opiekę sztandar z Polski, i tak samo jak poprzednie dywizjony, tak i oni czują to i wiedzą, że ten sztandar musi powrócić do Polski. Obowiązkiem każdego z nich jest, temu sztandarowi zwycięską drogą do Kraju utworować. A droga ta jest tylko jedna, wypisana rekoma Polek na ich sztandarze: "MIŁOŚĆ ŻĄDA OFIARY." Droga ofiarnych walk i uczciwej służby żołnierskiej. Ta droga oni idą każdego dnia.

W Kraju miliony żyją w cierpieniu. Tysiące serc bije codziennie z trwogi o życie swych ojców, synów i braci. Ale nigdy nie było i nie ma wahania. Ściśnięte bólem serca żądają dalszych ofiar. Żądanie to wypisały na tym sztandarze. Bo droga do zwycięstwa prowadzi przez pola krwią przepojone.

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

Może dzisiaj?

Gwizdek w ustach podoficera pogotowia krztusi się w zaciętej pasji wydania ze siebie jak najgłośniejszego niby-dźwięku... Dołącza się do niego drugi, trzeci. Po chwili cały obóz brzmi świergotem alarmu.

—"Znowu napewno ćwiczebny"—klnę cicho pod nosem, łapiąc nerwowo hełm i maskę.

Dobiegam wreszcie do drzwi "Comand Post'u". Siedzi już tam "Tata"—dowódca baterii. Oprócz niego—jak zwykle—telefonści. Jeden z nich ze słuchawką w rękę i zaafelowaną miną słucha, powtarzając, otrzymany "message."

—O, 71... O, 73... P... 12.

Patrząc na "Tatę". Ruchem spokojnym, pewnym nanosi na tablicę "ploting'u" pozycję "tamtego". Obserwuję ją, denerwuję się, że może zawrócić, może zmienić kurs i znowu nic z "tego" nie będzie. Ale, jak do tej pory wszystko wskazuje na to, że niedługo będzie komenda "Przychodzi zero".

Wychodzę do sekcji pomiarowej. Pierwszy rzut oka naturalnie na "przelicznik". Pchor.W. jeszcze

coś tam majstruje... Sprawdza nastawy wiatru, poprawki wtórne, poziomowanie.

"O-K" myśli W. i melduje:

—"Przelicznik gotów"

Za tym meldunkiem idą następane:

—"Dalmierz... 1-wsze, 2-gie itd. działa gotowe."

G.P.O. (oficer ognioy) podnosi rękę do góry na znak, że słyszy, że wie.

—"Jakoś dziś wszystko tak dobrze idzie, napewno nic nie wejdzie w zasięg"—myślę, przypominając sobie poligon, pierwsze nasze p-lotnicze strzały na ziemi Brytyjszczyków.

Zawsze tak było. Jak tylko przelicznik był za grzeczny, to już coś się nie powiodło. A my wiemy o tym, jaki "on" jest kapryśny, czasami jest nawet złośliwy. Trzeba go dopiero przekonać, trzeba mu włożyć w głowę, rękami jego kilkunastu pokręteł, słusność naszej sprawy... Wtedy dopiero zaczyna rozumieć. Jeszcze się trochę złości...

Jeszcze trochę zgrzytnie z niezadowolaniem swoimi magnetycznymi hamulcami, warknie swoimi motorkami i pracuje już grzecznie.

Tak właśnie było podczas pierwszego rękawa. Już myślałem, że strzelanie pójdzie "Bozi w okno", a tymczasem rękaw poszedł w morze. Wtedy zrozumiałem, że ten martwy, skomplikowany przedmiot ma swoją duszę. No, a potem to już umiałem z nim "gadać".

Albo z "Queen-Bee," z samolotem—celem, prowadzonym drogą radiową. Wtedy przelicznik zaciął się razem z nami. Kazał układać się mlecznym obłoczkiem rozprysków tuż za nim lub przed nim...

Rezultat poligonu był: trzy rękawy i uszkodzony "Queen-Bee." Pamiętam po poligonie uśmiech na twarzy dowódcy Dyonu, majora E.

Ale co będzie dziś? Czy przyłecą, czy poczują na swoich kadłubach, płatach i silnikach odłamki granatów naszej... polskiej artylerii p-lotniczej?

TADEUSZ OSTOJA



fol. Jan Olgierd Bożenka

Z życia saperów: po pracy lubimy posłuchać muzyki

Przegląd polityczny

Rozszerzenie umowy polsko-czeskiej do ram konfederacji dwóch państw zachodnio-słowiańskich, jest aktem historycznym może nie mniejszym doniosłości, jak Unia Lubelska. Polityka nasza zdaje najcięższy egzamin realizmu. Po układzie polsko-rosyjskim, którego praktycznego skutku już nikt poważnie kwestionować nie może—przychodzi do konfederacji z Czechosłowacją. Przyszłość państw europejskich w ogóle, a ludów Środkowej Europy w szczególności wypisana jest na mapie. Ludy te skazane są albo na najcięższą współpracę albo na to, że będą ginęły jedne po drugich.

Jeden z wybitnych publicystów dawnego reżimu rzucał kilka tygodni temu piękne wspomnienia, na temat swojego dawnego stanowiska, że Pomorze jest punktem centralnym równowagi europejskiej, że atak na to Pomorze jest równoznaczny z wojną światową. Nie jest to bardzo ściśle. Punktów neutralnych w Europie było więcej. W roku 1938 niezależnie publicystyka polska zwracała uwagę, że z chwilą, kiedy padną Sudety padnie Praga, gdyż Czechy podlegają prawom geopolitycznym i trudno mówić o niepodległej polityce państwa, którego stolicę można każdej chwili pozbawić wody i światła. A gdy padnie Praga—to obwód niemiecki otoczy nas od Suwałk aż po Kołomyję i cała Rzeczpospolita zostanie śmiertelnie zagrożona. Nie wystarczyło pięknie mówić o Pomorzu na kilka lat przed wojną i dopiero dzisiaj te rozmowy z zagranicznymi dziennikarzami ogłaszać, ale trzeba było starać się prowadzić taką politykę, by zagrożenie równowagi europejskiej przez Niemcy i co za tym idzie, atak na Polskę był utrudniony, względnie nawet wykluczony.

Los państw od Bałtyku aż po Sudety i od Sudetów aż po morze Adriatyckie, Czarne i Egejskie—jest wspólny. Wspólna musi być również ich polityka. Gdybyśmy mieli powrócić do przedwojennego rozproszenia Europy, gdyby znowu zaczęto stosować zasadę nieograniczonej „suwerenności” państw i państewek, to straszny kataklizm jakiego dzisiaj jesteśmy świadkami—powtórzył by się w tych samych rozmiarach nie za dwadzieścia, ale już za dziesięć lat. Między Rosją a Niemcami nie ma miejsca na słabe twory państwowe.

Europa środkowa będzie odgrywała rolę najważniejszego czynnika równowagi politycznej i będzie służyła wielkiej sprawie gwarancji i bezpieczeństwa świata, ale pod tym tylko warunkiem, że będzie silna, bardzo silna. Ludy środkowo-europej-

skie skazane są na potęgę, jak samolot skazany jest na szybkość. Rozumieli to wielcy politycy dawnej Polski—i prawda ta była podstawą idei jagiellońskiej, jedynej realnej i głęboko mądrej polityki, jakiej prowadzenie zabezpieczało nie tylko istnienie, ale potęgę państwa.

Do tych zasad trzeba było powrócić po pierwszej wojnie światowej. Niestety, najprostsze prawdy są zawsze najtrudniejsze do zrozumienia. Pradze i Warszawie groziły te same niebezpieczeństwa. Jednakowoż ludzie, którzy wyciągali realne wnioski z pewników historycznych i geopolitycznych—było bardzo mało, zarówno nad Weltawą, jak i nad Wisłą. Okazało się raz jeszcze, że teoretycznie nie można wychować ani człowieka, ani społeczeństwa. Trzeba było dopiero największej klęski w dziejach zachodniej słowiańszczyzny, aby i Polska i Czechosłowacja odnalazły wspólny język.

Konfederacja polsko-czechosłowacka może być wstępem do unii obu narodów. Z kolei unia ta po-

winna się stać początkiem nowych dzieł Europy Środkowej, związanej trwałym i najściślejszym przymierzem ze światem anglo-saskim. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone walczą, podobnie jak Polska i Czechosłowacja, o swój byt, o swoją rolę w świecie. To zbliża nas dzisiaj. Gwarancja trwałego pokoju musi być czynnikiem, łączącym nas jutro. Innej drogi nie ma, to znaczy, że każda inna koncepcja byłaby tylko połowicznym rozwiązaniem sprawy najważniejszej w dzisiejszym położeniu świata. Kwestia bezpieczeństwa wyraża ponad wszystkie inne, albowiem Europa, pod grozą zagłady rasy białej, musi odnaleźć swą równowagę polityczną i swe poslanictwo do dzieł. Wielkie dzieło konfederacji polsko-czechosłowackiej jest poważnym wkładem w pracę nad przyszłym układem stosunków w całym świecie.

Na froncie rosyjskim Niemcy ponoszą dalsze, ciężkie klęski. Z całym naciskiem należy podkreślić, że nie są to jakieś „strategiczne cofania się” na

“z góry przygotowane pozycje.” W tej chwili fortyfikują Niemcy linię granicy polsko-rosyjskiej i linię Odry.

Hitler zwyciężał w swym marszu na Moskwę podobnie jak zwyciężał Napoleon. Poniósł jednak klęskę w walce z przetrzeźnia i zimą rosyjską, przed którą cofnął się nasz Stefan Batory, a która mimo zwycięstw pod Smoleńskiem, pod Możajskiem i pod Malojarosławcem pokonała Cesarza Francji. Sytuacja na wschodnim froncie wygląda w ogólnych zarysach następująco:

Niemcy nie byli przygotowani na kampanię zimową. Więcej. Nie byli przygotowani na wojnę pozycyjną. Grali kartę wojny błyskawicznej—i przegrali ją. Odwrót, który nastąpił na skutek klęsk odbywa się w warunkach dla armii niemieckiej nad wyraz ciężkich. Wszystkie szpitale w Polsce przeladowane są żołnierzami chorymi na płucę i z powodu odmrożeń. Najlepszym dowodem nieprzewidywania kampanii są te zbiórki odzieżowe, jakie zarządzono w Rzeszy

i w krajach okupowanych. Na wschodni front posyła się nawet damskie futra. Jest to pomoc wątpliwa, ponadto utrudniona ze względów transportowych. Brak etapów na olbrzymich przestrzeniach daje się odczuwać Niemcom w sposób nad wyraz poważny. Straty w materiale i sprzęcie wojennym są bardzo znaczne. O działaniu tak potężnego na początku kampanii niemieckiego lotnictwa nie słychać, mimo, że zacięte walki toczą się na całym froncie. Od miesiąca ani Moskwa ani Leningrad nie były bombardowane; trudno bowiem zaliczyć do bombardowań powietrznych sporadyczne małe naloty.

Armia rosyjska przyzwyczajona do mrozów i działająca na własnym, dobrze znanym terenie—ma przed sobą jeszcze trzy miesiące rosyjskiej zimy. Czy po tym okresie czasu Niemcy, wyniszczeni niezwykle trudną kampanią, będą mieli dostateczne siły do rozpoczęcia tak już reklamowanej ofensywy wiosennej—to wielkie pytanie. W każdym razie jedno jest pewne: nie mylą się Führer zawiódnął na całej linii, jego zapowiedzi okazały się fałszywe, obliczenia mylne a chwalebny przedwczesne. Ta depresja moralna, która zaczyna objawiać się w Niemczech, może mieć swoje bardzo poważne następstwa.

Ciężka jest sytuacja na Pacyfiku. Jednakowoż postępy japońskie zmuszą Stany Zjednoczone do podjęcia o wiele większego wysiłku, aniżeli w okresie pierwszych wojen światowej. Po raz pierwszy naprawdę realne niebezpieczeństwo stanęło przed wrotami całej Ameryki, zarówno Północnej jak i Południowej. Zasoby materialne Nowego Świata są jednak olbrzymie i nie ulega wątpliwości, że przeważają szalę wojny.

Tragedią świata było spóźnione zorientowanie się w powszechności niebezpieczeństwa. Okazało się, że izolowanych państw i narodów nie zna historia nowoczesna. Od pożaru wzniesionego bombami, które padły na Warszawę—zapaliły się domy na wyspach Hawajskich a jutro mogą gorzeć drapacze chmur w Nowym Jorku i Buenos Aires. Stwierdzenie tej prawdy przychodzi okupywać bardzo ciężko; jest to jednak lekcja dziejowa, która z pewnością nie pójdzie na marne. Biedów z przed roku 1939 powtarzać nie można pod grozą wywołania nowej katastrofy. Zasada wspólnego bezpieczeństwa musi stać się podstawą polityki zagranicznej wszystkich państw świata.

Stwierdzenie tej prawdy jest pierwszym, wielkim sukcesem. Wierzmy, że po nim przyjdą dalsze.

Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Zechce mi Pan użyć nieco miejsca na łamach „Polski Walczącej” dla poruszenia sprawy niespodziewanej i dziwniejszej, podniesionej w wystąpieniu publicystycznym p. Karola Estreichera o roku 1863, na wieczorze autorskim Pen-Clubu dn. 24 stycznia b.r. P. Estreicher uznał chwilę obecną za najbardziej odpowiednią dla wysunięcia tezy, że powstanie r. 1863 było politycznie szkodliwe.

Wszelki rewizjonizm historyczny jest zjawiskiem twórczym, pożądanym, wzbogacającym życie kulturalne, o ile potrafi nowe naświetlenie rzeczywistości dziejowej poprzeć przekonywającą argumentacją, która obala dawniej ustalone sady. Ale potępienie ruchu zbrojnego roku 1863 wbrew pozorom nie jest w tej chwili żadnym objawieniem historycznym, jest, raczej odgrzewaniem starej, wytartej kliszy „krakowskiej szkoły historycznej”. W dodatku, o ile przedstawiciele „krakowskiej szkoły historycznej” potrafiliby swą tezę poprzeć olbrzymim bogactwem materiału dowodowego, o tyle p. Karol Estreicher okazał zasmucające ubóstwo w rozwinięciu jakiegokolwiek argumentacji, mającej poprzeć jego rozumowanie.

Dla wiadomości historyka sztuki, autora doskonałego „Przewodnika po Krakowie” warto zanotować jeden szczegół z dziedziny historii politycznej, do której się zaczyna teraz przetrzącać. M. Bobrzyński w „Dziejach Polski”, w najbardziej klasycznym dziele „krakowskiej szkoły historycznej”, zwłaszcza w nowym wydaniu po wojnie światowej, dawno wyszedł poza pierwotny, czysto ujemny osąd powstania styczniowego. Znakomity ten historyk ukazał w swym dziele jak to w ciągu XIX-go wieku luzowały się wzajemnie dwa kierunki, dwie postawy życiowe: prąd pracy organizacyjnej i kierunek walki zbrojnej o niepodległość. Wytrawny historyk i polityk, jakim był Bobrzyński doskonale rozumiał, że oba te kierunki wzbogacały rzeczywistość polską, że się wzajem uzupełniały, i że bez jednego z nich życie polskie było by zubożałe. POCO WIĘC WYCIĄGAĆ Z RUPIECIARNI historycznej tezy dawno przez naukę przewyżczone?

Po wtóre: nie wolno zapominać, że tradycja powstania r. 1863 żyła i oddychała wszystkie kierunki nie-

podległościowe drugiej połowy XIX-go wieku. Do niej nawiązywał zarówno ruch socjalistyczny, jak wreszchpolski, nią żyły całe pokolenia młodzieży na przełomie XIX-go i XX-go wieku. To była karm ideaowa najbardziej bohaterów polskich porwów roku 1905. Z uimitowania tej tradycji wytrysnął czyn legionowy roku 1914. Nie jest też rzeczą przypadku, ale leży to na logicznej linii rozwojowej, że dziś odżywa kult partyzantki zbrojnego roku 63-go. Partyzanci z wiosny roku 1940-go w Górach Świętokrzyskich mogli napotkać niejedną mogiłę z 1863-go roku. Te same pobudzenia, te same myśli i dążenia ideowe działały zarówno wówczas, jak i dzisiaj.

Kto tego nie widzi, a przeciwnie uważa, że właśnie dziś jest pora na wysuwanie tezy o szkodliwości politycznej powstania 63-go roku, ten chyba nie daje wysokiego świadectwa politycznego instynktu, politycznej kultury. Te polityczną kulturę i dojrzałość miało rozwiniętą w wysokim stopniu krakowskie środowisko Stańczyków. W świetle ostatniego wystąpienia p. Karola Estreichera można tylko wyrazić żal, że nie są to niestety cechy dziedziczne, przekazywane z ojca na syna. Każde pokolenie musi ją własnym wysiłkiem zdobywać. Inaczej powtarza stare klisze w najniewłaściwszym czasie.

Adam Ordega

* * *

Otóż „Polska Walcząca” dochodzi i punktualnie i w dostatecznej ilości /nigdy jej /„P.W.”/ nie za-dużo!/. Poczytność bardzo duża. Nie chcę bynajmniej umniejszyć roli innych współpracowników Pana doskonałego pisma, gdy stwierdzę, że Budzyński jest filarem „of vital importance” w tej pięknej konstrukcji słowa polskiego jaka jest „Polska Walcząca.”

Nieocenionej wprost wagi jest p. Pawłowicz i pokrewni mu „morscy ludzie.” Te systematyczne zastrzyki słonej wody swoje robia! Nie można ani na chwilę dopuścić,

Z inicjatywy Biura Prac Administracyjnych ukaże się książka:

Julian Suski
RZECZPOSPOLITA POLSKA—
ORGANIZACJA PAŃSTWA

Monografia administracji polskiej, rozbiór krytyczny, projekt organizacji państwa po wojnie.

50 wykresów i map.
Cena nie przekroczy 10 zł. 6d.
Ze względu na konieczność oszczędzania papieru, nakład zostanie ograniczony do egzemplarzy zamówionych zawczasu. Zamówienia należy nadsyłać pod adresem: The Publisher: „Rzeczpospolita Polska—Julian Suski,” 26, Welbeck Street, London, W.1, dołączając tytułem zaliczki postal order na 2 zł. 6 d., oraz dokładny adres zamawiającego. Zamówienia zbiorowe i księgarskie korzystają z rabatu.

CLIFTON HOTEL

47a, Welbeck Street, W.1

Telefon: WELbeck 6881.

Pokój ze śniadaniem i kąpielą od £2.2.0 tygodniowo albo od 7/6 dziennie

Punkt zborny dla Polaków z prowincji

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.

Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cał przed jeden łam—sh.15 Od. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 Od. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agentów dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the „Polska Walcząca,” by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.

W dniach od 9 do 23 marca b.r. w National Portrait Gallery w Londynie otwarta będzie międzyalancka wystawa prac żołnierzy artystów—plastyków organizowana przez brytyjskie władze wojskowe.

W wystawie mogą wziąć udział wszyscy żołnierze W.P. bez względu na stopień i rodzaj broni.

Zgłoszenia należy składać do dnia 20.II.1942 na ręce kpt. Jastrzębskiego, 12, Bruntsfield Gardens, Edinburgh, na specjalnych formularzach, które można otrzymać u wymienionego.

Gotowe prace należy nadsyłać do dnia 26.II.1942, a to:

1. Żołnierze I Korpusu przesyłają pod adresem Aitken, Dott & Son, 26, Castle Street, Edinburgh,
2. Żołnierze z poza Korpusu przesyłają prace do Wojskowego Biura Propagandy i Oświaty, Vandon House, Vandon Place, London.

Wszystkie przesyłki należy zaopatrzyć w adnotację na kartce umieszczonej na odwrocie, ściśle jak na nadanym formularzu zgłoszenia /Entry Form/.

SPIS RZECZY

Marian Kukiel: Jedność działania.
—Antoni Bogustawski: Na odcinku.
—Czesław Poznański: Wyspy Filipińskie.
—Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny.—Książki o wojsku i wojnie: Stefan Budzyński: Obrona dynamiczna.—Pomoc dla Polaków w Rosji.—Witold Buchowski: Błyskawica w czasie sztormu /7 fotografii/.—Adam Sterbala: Nowości lotnicze.—Wiktor Budzyński: Bez black-outu.—Z życia obozów: Janina Wojciechowska: Codzienna twarz Nieznanego Żołnierza.—Kamil Bogumił Czarniecki: Sztandar lotników.—Tadeusz Ostoja: Może dzisiaj?—Jan Olgiera Bożenko: Z życia saperów /fotografia/.—tk: Przegląd polityczny.—Skrzynka pocztowa.—Mapa.

Pełen szacunku

Maksymilian Niemczyk

Redakcja „Polski Walczącej” otrzymała telegram z Rosji skierowany do „Wilma Woligz” albo „Wilcz,” zawierający wiadomość o p. Adamie Jaeger.

P. Świstun jest proszony o podanie obecnego swego adresu. Ma list w redakcji.

P. Janina Wojciechowska oraz p. Zdzisław Charewicz proszeni są o podanie aktualnych adresów do redakcji.

POLSKI KRAWIEC

wykonuje ubrania cywilne i mundury wojskowe oraz damskie kostiumy po cenach umiarkowanych. Poprawki i przeróbki. Specjalista w cerowaniu bez śladu wypalonych dziur i rozdarcia materiału.

M. FOX, 31a, Buckingham Palace Road, S.W.1. Wejście obok Hotelu Rubens.

Tel.: VICToria 8241.



MAPA ŚWIATA

Mapę tę wykonano specjalnie dla „Daily Telegraph.” Przedstawia ona, wbrew metodom zazwyczaj stosowanym w kartografii, Filipiny, Japonię, Indie Holenderskie i południową część Ameryki. Przy pomocy tej mapy łatwiej można śledzić wypadki na Dalekim Wschodzie i łatwiej rozumieć dyplomatyczne posunięcia wielkich mocarstw.

Daily Telegraph

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach z gazetami; Wysyłka pocztą do: „The Daily Telegraph,” Fleet Street, London, E.C.4.



MASZYNY DO PISANIA

Kupno, sprzedaż i zamiana. Klawiatury we wszystkich językach.

Taśmy do maszyn i kalki. Reperacje wszelkiego rodzaju.

United Typewriter & Supply Co. Ltd
70, New Oxford St., London, W.C.

Phone: MUSEum 0131-2